Nr. 15. Warszawa, dnia 29 Marca (10 Kwietnia) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Numery styczniowe (1, 2, 3, 4 i 5) *Prawdy* są wyczerpane i dlatego nie możemy ich dostarczyć nowoprzybywającym abonentom.

POLITYKA.

PO PRZESILENIU.

Dnia 27 z. m. zebrała się w Wiedniu Rada państwa na nowy okres prawodawczy. Nowym jest nietylko ten okres, ale i Izba deputowanych w dzisiejszym swym składzie: po raz pierwszy zapełniło ją aż 425 przedstawicieli tego zbiorowiska ludów i ludyszcz, które Dom austryacki pod tron swój zgarnął. Siedemdziesięciu dwóch posłów, wyobrażających liczebną przewagę nowej Izby nad dawną, wyobraża też i nową zupełnie klasę wyborców — ludzi bez własności. Gdyby istniało ograniczenie, nie pozwalające wybierać pełnomocników z po za własnego stanu — jak było w średniowiecznem przedstawicielstwie stanowem — widok nowej Izby byłby jeszcze bardziej zajmującym, niż jest już obecnie. I bez tego już jednak każde oko austryackie, czy przedlitawskie, ujrzyła w składzie nowej Izby nadzwyczajność, coś, czego przedtem w Austryi nigdy nie oglądano: socyaliści w Izbie. Posłała ich tam nowo do życia powołana kurya piąta. Naliczono się ich do piętnastu. Pięćdziesiąt kilka pozostałych mandatów rozdrapali między siebie anti-semici w Austryi, Młodoczesi w Czechach, nowe stronnictwo ludowe w Galicyi; pokrzepiły się też nimi trochę i stare stronnictwa.

Nowa kurya, nowe przedstawicielstwo, nowe rady prawodawcze w Izbie domagały się też i nowego programu polityki wewnętrznej. Nieraz już wprawdzie zajmowano się w Wiedniu ranami wieku, nieprawidłowością wielu stosunków społecznych, która wszystkie państwa pobudza od lat kilkunastu do czuwania i zaradzania dolegliwościom obecnym dla odwrócenia przyszłych; poprzestawano jednak dotychczas na prawach fabrycznych, prawach przemysłowych, prawach o święceniu niedzieli i dni uroczystych, o odpowiedzialności za nieszczęśliwe wypadki itp. P. Badeni pierwszy wchodzi na tory wytknięte przez prawodawstwo niemieckie: organizuje systematyczne ubezpieczenie robotników pracujących, chleb wysłużony dla pracować już niezdolnych, pomoc dla powalonych na łoże cierpień fizycznych. Mowa tronowa, którą cesarz Franciszek Józef d. 29 marca Izbę zagaił, jest wybitną manifestacyą dążności do ulepszenia stosunków społecznych pod hasłem postępu, polegającego na wprowadzeniu sprawiedliwości, porządku i równowagi w ten odmęt zjawisk, który nazywamy życiem.

Sam już ten programat wzmocnić musiał moralnie, jak się mówi, i politycznie zarazem stanowisko gabinetu. Mowa sprawiła jaknajlepsze wrażenie; socyaliści nawet powitali ją oklaskami, a dobra wiara, jakiej domniemywać się w sobie nakazywał dotychczas p. Badeni, dawała rękojmię szczerych usiłowań dla zamienienia zamiarów w instytucye prawne, wszystkich, i zwolenników i przeciwników, zapowiedzianego prawodawstwa jednakowo pod jarzmo obowiązku wtłaczające. Do przeprowadzenia projektów przez Izbę powołane były z natury rzeczy te stronnictwa, których zakres umysłowy najłatwiej mógł je objąć. Gdyby kierowano się tylko samemi wymaganiami polityki ogólnie społecznej, tem, co w niej jest i najpilniejszem i najważniejszem, stronnictwa polityczne, liberalne, powinny były stanąć odrazu przy rządzie i wejść w skład wytworzonej przez niego większości. Ale odezwały się pobudki silniejsze, mające swe źródło w walkach między narodowościami — i wywróciły rachuby p. Badeniego. Do ostatniej chwili liczył on na to, że podbije sobie Młodoczechów, dając im rozporządzenie o obowiązkowej znajomości obu języków krajowych w Czechach, a ułagodzi Niemców, najpierw dalekim terminem na urzeczywistnienie tego ustępstwa wskazanym, potem samą sprawiedliwością sprawy, samym rozsądkiem rzeczy, a wreszcie ową naprawą społeczną, której Niemcy liberalni i demokratyczni najgłośniej się zawsze domagali.

Nadzieja zawiodła. Niemcy, nawet wielcy panowie, posiadacze wielkiej własności w Czechach, trzymający się niemieckiego liberalizmu, odmówili stałego współdziałania. Wtedy p. Badeni, widząc niemożność złożenia większości rządowej z pomocą liberalnych, podał się do dymisyi wraz z całym gabinetem. Mówiono przedtem tylko o ustąpieniu trzech liberalnych Niemców: skończyło się na całym składzie ministeryum. Stronnictwa zaczęły między sobą rokować. Opamiętano się, że nikt inny nie zbuduje teraz lepszego gabinetu, a cesarz oddawna już wiedział, że nie znajdzie lepszego doradcy—i po trzech

dniach niepokojów gabinet, z p. Badenim na czele, pozostał, jak był, nadal u steru rządu. Czy na długo? Chyba nie. P. Badeni zaraz po stanowczem oświadczeniu cesarza, iż nie chce słyszeć o żadnej zmianie, ogłosił rozporządzenie o języku. Niemcy tego samego dnia jeszcze (d. 6 b. m.) zażądali w Izbie zniesienia woli administracyjnej przez prawodawczą. Ministrowie niemieccy nie wytrzymają ognia rozpraw. Młodoczesi także nie poprzestaną na obietnicy, jaką jest rozporządzenie. Oparcie się na zachowawcach niemieckich i antisemitach zatamuje działalność programatową rządu. Zasada równouprawnienia narodowości pchać będzie do federalizmu, do Hohenwarta z r. 1871. Zewsząd wypełzną sprzeczności i zwiększą zamęt. Dostateczną jego wskazówką jest już przyjęcie przez Izbę d. 7 b. m. wniosku Jaworskiego: aby wystosować adres do Korony. Położenie jest bardzo niepewne. Przesilenie jeszcze nie ustało.

Tydzień polityczny. Groźny dzień 6 kwietnia przeminął, nie przynosząc nic groźnego. Grecy w Atenach zrobili manifestacyę, pomodlili się i pobiesiadowali — a na granicy tessalskiej dzień upłynął im na postawie przyzwoitej. Ks. Konstanty, następca tronu, wydał do wojska odezwę o godności, zapowiadającą stopniowe wycofywanie się z przedwojennej pozycyi. Mocarstwa obu stronom dały napomnienie, zwalające odpowiedzialność za wypadki na własne ich polityczne sumienia. Blokada zatoki Volo, skutkiem oporu Anglii zaniechana, zamieniła się w blokadę Pireusu, ale dotychczas istnieje dopiero w zamysłach mocarstw, które już po zgodzeniu się jeszcze zgodzić się na nią jakoś nie umieją. W ostatniej chwili Francya dostrzegła słabe punkta zamiaru i termin na 3 dni już określony i w Atenach zapowiedziany samem ociąganiem się swojem przedłużyła. Całość tego splątanego kłębu wzajemnych pogróżek przedstawia się tak, jakby Grecya tessalskim swym porywem chciała powstrzymać blokadę Pireusu, a mocarstwa znowu czekały na sposobność do zerwania swej jedności. Na Krecie „admirałowie“ — nowy czynnik w polityce międzynarodowej — zapewniają, iż blokada wyspy trwać będzie tylko do czasu ustąpienia wojsk greckich, po ich ustąpieniu zaś zarządzą mocarstwa plebiscyt i wtedy stanie się to, czego zażąda ludność kreteńska. Reformy mimo to nie schodzą z kowadła; dyplomacya stambulska w skrytości kuć ich nie przestaje. Generał-gubernatorem ma być Franciszek Józef Battenberski, brat ks. Aleksandra młodszy. Jest też myśl, aby zgromadzenie narodowe samo sobie gubernatora wybrało.

Z Azyi Mniejszej od dwóch tygodni przylatują wieści o nowych rzeziach, jakie Turcy w Tokacie wyprawiają Ormianom w wilajecie Szywas i o wzajemnem odpłacaniu się mordowanych mordercom. Miejscowy wali był spólnikiem zbrodniarzy. Sułtan dał mu dymisyę, ale wybrał dla niego następcę, któremu nie powinien był dawać nominacyi. Jest to jakiś Hassan czy Hussein, człowiek tak napiętnowany jako fanatyk, że nawet cierpliwa, zawsze zezem patrzeć umiejąca dyplomacya podniosła głos. Sułtan nie zważał na przedstawienia i dygnitarza fanatycznie na chrześcian zawziętego posłał tam, gdzie mordują właśnie chrześcian.

W Niemczech zażądało centrum w sejmie cesarstwa zdjęcia banicyi z Jezuitów. Sejm żądanie zamienił na uchwałę, dodając początkowo jeszcze inną, która ogranicza swobodę władzy administracyjnej w pozbywaniu się ojców, przybywających z za granicy.

Między Anglią a Portugalią teraz dopiero zapadł wyrok sądu polubownego, rozstrzygający dawne spory w ten sposób, że Portugalia zapłaci 6 mil. f. st. za szkody zrządzone. Anglia dodaje jej jeszcze 10 od siebie, a zatokę chce zabrać na własność. Oczywiście sprzedaż taka nie byłaby miłą ani dla Transwalu, ani dla Oranje, których logicznem dążeniem musi być opanowanie kiedyś zatoki i dostanie się do morza. Anglicy wysłali silną flotę na miejsce.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POPIERANIE LICHWY.

Zdarzył się wypadek niezwykły w naszych stosunkach na dorocznem zebraniu ogólnem przedstawicieli Kasy pożyczkowej przemysłowców warszawskich, który daje nam powód do wypowiedzenia kilku uwag; zwraca bowiem uwagę na pewną niepożądaną działalność wogóle instytucyj kredytowych. Mianowicie obecny na posiedzeniu uczestnik, p. Piotr Noskowski, zarzucił, że wbrew przepisom, zarząd udziela kredytu ponad 15,000 rs. bankierowi, korzystającemu z tej pomocy w celach lichwiarskich. Zaatakowani oświadczyli, że nikomu nie udzielono kredytu ponad powyższą sumę; gdy jednak p. Noskowski pomimo uroczystego zapewnienia wyraził powątpiewanie, zarząd wymógł na nim wymienienie nazwiska owego bankiera, a następnie oznajmił, że bankier, noszący to nazwisko, nie jest członkiem kasy, więc i z kredytu nie korzysta. Gdy jednak nie rozwiało to podejrzeń p. Noskowskiego co do faktu takiego kredytu, zarząd, uważając twierdzenia jego za obelgę, zaproponował mu, ażeby wraz z pięciu członkami wybranymi sprawdził księgi kasowe. Jeżeli zaś po dokonaniu tej kontroli zarzuty okażą się bezzasadnymi, powinien, jako zadośćuczynienie za obelgę, złożyć 3,000 rs. na kasę wdów i inwalidów-drukarzy.

P. Noskowski kontroli dokonał i, na swoje nieszczęście, nazwiska owego bankiera nie znalazł, lecz natomiast stwierdził istnienie dyskontowania znacznych sum kantorom wekslarskim. Z tego powodu obarczony karą pieniężną, umieścił wyjaśnienie w dziennikach: „Wprawdzie zadawszy kłam komitetowi Kasy na zebraniu ogólnem co do firmy, powiedziałem jednocześnie, że nietylko ta jedna firma być może, bo są i inne; komitet uczepił się tego nazwiska i zmusił mię do deklaracyi „ekwiwalentu“ za zrobiony zarzut „kłamstwa,“ jakby to rozwiązywało kwestyę, czy dyskontuje weksle pan *...der*, czy *...tern*, czy *...retz*.“ P. Noskowski postanowił nie trzy, lecz cztery tysiące

---

1)

MARYA TURZYMA.

TO NIE BYŁA MIŁOŚĆ.

Kartka z życia kobiety.

Nie kocham go. Nie chcę go kochać! Po co więc staje wciąż przed oczyma mej duszy z tym przenikającym wzrokiem, utkwionym we mnie? Na czole jego poważnem i myślącem błyszczy spokój mędrca, co wszystko zbadał i wszystko zrozumiał. Z całej postaci widnieje pewność siebie człowieka świadomego swej siły i swego rozumu. Ja go się boję...

Jak on mnie strasznie męczył! Jak cała moja natura wzdryga się na to, że wobec niego jestem woskiem, z którego nie wiem co palce jego ulepią, automatem, w który on dopiero ma wlać świadomość i życie. Taka jestem wobec niego mała, taka bezsilna, taka marna, choć czuję, że w głębi duszy mam czysto indywidualną wartość zupełnie od niego niezależną.

Niedawno jeszcze przedstawiał mi się jako uosobienie duchowej potęgi, jako źródło wiedzy i siły dla duszy mojej, rwącej się do życia. Wydawał mi się koniecznie niezbędnym do istnienia, niż powietrze i światło. Nie umiałam po za nim myśleć, czuć, żyć. Widząc, że porywa nas ku sobie moc jakaś wielka, od nas niezależna, starałam się wniknąć w głąb jego umysłu. Chciałam dosięgnąć go myślą i uczuciem, widząc, że rozumem nie dorównam mu. Jestem pewna, że mogłam stanąć i obok niego i być towarzyszką jego, przyjaciółką, powiernicą. Nagle stanęło coś między nami. Nieuchwytna jakaś zapora, jakby mglisty, zimny obłok, rozdzieliła nas.

Kiedyś niespodziewanie poczułam, że między tym człowiekiem a mną otwiera się przepaść ogromna, której nic i nigdy zapełnić nie zdoła. A przecież widziałam się w jego mocy tak niezmiennie, tak nieodwołalnie, że nie miałam siły powiedzieć mu:

— Rozejdźmy się.

Wiłam się pod jego spojrzeniem, buntowałam się przeciw jego woli, cierpiałam. On, badacz uczony, patrzył na mnie spokojnie, jak na doświadczalnego królika. Kiedy opierałam się ubezwładniającemu wpływowi jego wzroku, uśmiechał się. Czasem zgrzytał zębami.

Co dnia mówiłam sobie:

— Dziś go nie przyjmę. Nie chcę go widzieć.

Gdy zbliżała się godzina, o której przychodził, drżałam z niecierpliwości. Kiedy usłyszałam dzwonek w przedpokoju, serce zamierało mi w piersiach. Jeżeli nie zjawił się, płakałam z tęsknoty.

Co właściwie stanęło między nami? Dlaczego dziś zdaje mi się, że go nienawidzę? Z całą swoją mądrością i potęgą ducha wydaje mi się demonem raczej, niż człowiekiem, katem mego ducha, a nie mistrzem, jak to roiłam sobie dawniej. A przecież on dobry jest dla mnie. Poświęca mi wszystkie wolne chwile, jest wyrozumiały, cierpliwy, niekiedy serdeczny. Co mnie w tem wszystkiem razi? Czego mi brak w tem uczuciu, jakie mi okazuje?..

Kiedy poznałam go, wydawał mi się taki inny od tych wszystkich, którzy kręcili się koło mnie. Umysł jego o całe niebo wyższy, wiedza niesłychanie rozległa, energia i stanowczość nadzwyczajna, pociągały mnie ku niemu nieprzepartą siłą. Dusza moja rzuciła się ku niemu z namiętnym porywem, a on od pierwszej chwili zagarnął ją pod swoją wolę, jak pan i władca.

Nie wszystko jednak podobało mu się we mnie. Lubił moje uśmiechy, które mówiły mu, że cieszę się jego obecnością. Lubił spojrzenia, przez które dusza rozkochana wybiegała ku niemu. Lubił całować moje warkocze i rozpłomienionym wzrokiem śledził drżenie, które przebiegało po mnie od ust jego gorących, kiedy dotykały mojej dłoni. Lubił, jak śpiewałam wesołe i miłosne pieśni lub otoczona tłumem mężczyzn, na których patrzał z pewną pogardą, rzucałam snopami iskier dowcipu i subtelnej ironii.

Nie znosił za to na twarzy mojej zadumy nad niedolą ludzką lub podłostkami naszego życia. Drażniła go we mnie ciekawość do badania zagadnień społecznych i zatapiania się w tajnikach ducha ludzkiego. Uważał to wszystko za rzecz niezdrową, z podnieconych nerwów wynika-

rubli ofiarować dla zgromadzenia drukarzy warszawskich i jednocześnie ucieka się pod sąd ogółu czytającego.

P. Noskowski w swym proteście nazywa tę całą taktykę, prowadzoną względem niego, bardzo niemoralnem odwróceniem uwagi od rzeczy głównej i całkowitem zatuszowaniem kwestyi zasadniczej.

Wysuwa się tu wszakże na plan główny sprawa ważniejsza, mająca znaczenie ogólne, społeczne — i o tę właśnie nam głównie chodzi. P. Noskowski po sprawdzeniu ksiąg przekonał się, że wytknął zarządowi nie urojone, lecz faktyczne przekroczenia celów kasy, nieujawnione w sprawozdaniu rocznem. Sumy wyższe nad 15,000 rs. zarząd dyskontował kantorom wekslarskim: Dnia 29 września r. z. przyjął naraz weksli drobnych na sumę rs. 15,133, d. 18 marca r. b. na rs. 19,840 k. 64 i prócz tego na mniejsze sumy znanym dyskonterom, czyli lichwiarzom *).

Tym sposobem Kasa przemysłowców warszawskich popiera lichwę. Czynią to samo i inne instytucye kredytowe. Tak więc gdy państwo wydało prawo specyalne i ściga lichwiarzy, banki i kasy dopomagają im kredytem: udzielają znacznych sum na procent niewielki, najwyżej 6%, po to, ażeby ci obmotywali ludność ubogą i pobierali od niej za swoje usługi 50 lub 100%. Tym sposobem instytucye kredytowe są głównemi pośredniczkami w szerzeniu lichwy. Nie mogą one nawet tłomaczyć się tem, że nie wiedzą, iż pewna kategorya ich klienteli trudni się lichwą; bo jeżeli przed przyznaniem pożyczki zwykle są zbierane bardzo dokładne wiadomości o pożyczkobiorcy, to chyba nie trudno przy sposobności dowiedzieć się o rodzaju jego *głównego* zajęcia. Niedawno *Izraelita* podał wniosek, ażeby dla zapobieżenia rozwojowi lichwy przedstawiciele lepszej części społeczeństwa żydowskiego zawezwali przez cyrkularz wszystkie banki i bankierów o niedyskontowanie weksli tym, którzy uprawiają lichwę jako rzemiosło. Brak gotówki przetnie im możność rozwijania wyzysku. Wszak to jest środek nietrudny i hańbą byłoby dla wszystkich instytucyj kredytowych, a tem bardziej dla Kasy przemysłowców warszawskich, gdyby nie usłuchała tego głosu.

*) Zaznaczyć winniśmy, że zarząd Kasy przemysłowców w proteście przeciw tym oskarżeniom twierdzi, iż kredyt wekslarzom przyznany został wtedy, kiedy do rady należał p. Noskowski.

Obecnie lichwiarze mają łatwy i tani kredyt, gdy tymczasem drobni przemysłowcy i rzemieślnicy uciekają się do pomocy Towarzystwa dobroczynności. Kasa przemysłowców czyni obroty, pośrednio wzmagające działalność lichwy, podobno dlatego, że ma nadmiar gotówki. Szkoda, że nie postara się ona rozszerzyć swych operacyj śród rzetelnych, drobnych przedsiębiorców i rzemieślników. Korzystają oni i dziś z pieniędzy tej, jak również innych instytucyj, ale „z drugiej ręki,“ bardzo ciężkiej i dotkliwej, bo lichwiarskiej. Otóż czyby między innemi ogniskami kredytu kasa przemysłowców warszawskich nie zechciała zmniejszyć swojej klienteli śród wyzyskiwaczów, a natomiast rozwinąć ją bezpośrednio śród drobnych rzemieślników i przemysłowców? W tej kategoryi pracowników można znaleźć dużo ludzi uczciwych, rzetelnych. Ułatwienie pomocy kredytowej wyrwałoby ich z rąk lichwy, a jednocześnie niedyskontowanie weksli lichwiarzy zawodowych przyczyniłoby się również do znacznego zmniejszenia tej klęski, wytwarzającej ruinę materyalną licznych rzesz ludności.

Trudno przypuścić, ażeby Kasa przemysłowców warszawskich, jak również większość innych instytucyj kredytowych popierały wyzysk rozmyślnie, z całą świadomością. Fakt wszakże istnieje i obarcza je wielką odpowiedzialnością moralną wobec społeczeństwa.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Wystawa prac Pruszkowskiego — Nowa szkoła dla kobiet. — Budowa domu akademickiego.



W Sukiennicach wystawiono prace Witolda Pruszkowskiego. Pietyzmu dla zmarłego artysty lub choćby jakichkolwiek starań w urządzeniu dopatrzeć się trudno: brak wielu dzieł i to najcharakterystyczniejszych, zebrano jak gdyby na prędce obrazy olejne, pastele, rysunki węglem, porozwieszano niedbale, bez żadnego planu, jak się dało, nie uwzględniając ani ich jakości, ani porządku chronologicznego. Choć niezupełna, świadczy ta wystawa o wielkim talencie i wielostronności zgasłego artysty — wielostronności, z której mu niektórzy krakowscy krytycy zarzut czynili i czynią. Z pomiędzy pastelów uderza pięknością pomysłu niedokończony tryptyk „Skrzypki zaczarowane.“ Z oczyma wpatrzonemi przed siebie w wieczorny mrok, z twarzą zachwyconą idzie wiejskie chłopię rozłogiem za dźwiękami, drgającymi gdzieś w dali. „Wianki,“ „Wschód księżyca“ odznaczają się również poetycznym nastrojem. Portrety rysowane węglem uderzają wielkiem podobieństwem, co Krakowianie ocenić mogą, są to bowiem przeważnie portrety osobistości znanych w ich mieście. Z olejnych obrazów rozmiarami wyróżnia się „Piast,“ kompozycya wielka, jedna z najdawniejszych, przewyższa ją pod każdym względem „Sielanka,“ „Planetnik,“ „Zaloty.“

Wiele sprzecznych zdań wywołał obraz Jacka Malczewskiego „Na tropie“: wszyscy zgadzają się na to, że jest on malowany wspaniale i świetny pod względem kolorytu, treść jednak zadawala i zachwyca jednych, oburza innych, a dla wszystkich jest potrosze zagadką. Po stepie, w łunie

---

jącą i przyciszonym, stłumionym głosem obiecywał mi, że mnie z tego wyleczy.

Kiedy pytałam go jak, patrzał na mnie wzrokiem, przed którym oczy moje chroniły się pod rzęsy, a twarz oblewała purpurą i chyląc głowę, aby koniecznie pochwycić moje spojrzenie, szeptał zachwycony:

— [illegible]

To nie było to, czego ja chciałam. To też najczęściej po takiej rozmowie w samotności zalewałam się łzami i przysięgałam sobie, że go więcej nie zobaczę; przy nim zaś byłam rozkapryszona i nieznośna Nie chciałam słyszeć o naszym związku, który był już prawie postanowiony i raniłam go na każdym kroku. On znosił to ze spokojem i chłodną obojętnością. Tylko czasem w lepszej chwili radził mi, żebym się leczyła, bo jestem strasznie zdenerwowana.

Raz przyszedł smutny jakiś i rozżalony. Zrobiłam mu przedtem dość przykrą scenę, którą opłakiwałam później przez noc całą. Drżącym ze wzruszenia głosem powiedział mi, że widzi, iż go nie kocham, że gotów jest każdej chwili zwolnić mnie z danego słowa i że przyszedł się pożegnać, wyjeżdża bowiem za granicę. Blady był i tak widocznie złamany, że ogarnął mnie żal ogromny.

Rozpłakałam się i ukryłam twarz na jego piersiach. Gładząc moje włosy, zaczął mi mówić o swojej miłości głosem dziecięcym i bardzo wzruszonym.

— O co tobie idzie? — zapytał wreszcie. Powiedz, dziecko, czego ty chcesz ode mnie?

— Czy ja wiem? — zawołałam, nie umiejąc określić sobie dobrze moich uczuć. Chcę, żebyś mnie kochał jakoś inaczej, lepiej, poważniej.

Uśmiechnął się. Z oczu strzelił znowu ten blask, którego nie lubiłam, który przerażał mnie, upokarzał. Nachylił się nade mną i głosem ochrypłym trochę, z przyspieszonym oddechem wyszeptał, ściskając ręce moje aż do bólu.

— Dlaczegóż więc odkładasz ślub? Dlaczego nie chcesz być moją całą... na zawsze?

— Nie, nie! — zawołałam, cofając się gwałtownie. Ty mnie nie rozumiesz, ty mnie chyba nigdy nie zrozumiesz.

Uczucie obrażonej dumy i jakiejś piekielnej męki przebiegło mu przez twarz. Zagryzł usta, tak że ukazała się na nich kropla krwi. Żal mi go się zrobiło. Wzięłam go za ręce i natężając umysł, aby możliwie jasno wyrazić mu moje uczucia, powiedziałam:

— Czekaj, ja ci to wytłomaczę—ty mnie zrozumiesz! Raz, dawno już temu, w chwili jakiegoś rozżalenia spowiadałam ci się ze zwątpień i zniechęcenia. Mówiłam ci, że dusza moja rwie się do jakiejś pracy, do jakiegoś współdziałania w ogólnym rozwoju ludzkości, ale drogi znaleźć nie umie. Wtedy powiedziałeś mi: Pójdziemy razem. Ja cię poprowadzę. Zaufałam ci, bo wydawałeś mi się wówczas uosobieniem rozumu i siły...

Zatrzymałam się na chwilę, aby zebrać myśli, a on przerwał mi z palącą goryczą w głosie:

— A teraz zwątpiłaś o mnie... Zawiodłaś się na moim rozumie. Nieprawdaż?

— Nie, tylko ty nie możesz mnie pojąć. Ja tak niedołężnie wypowiadam swoje myśli, tak nie umiem przyoblec w formę tego, co czuję. Ale czekaj. Ja ci to powiem w przenośni — ty musisz mnie zrozumieć. Wyobrażam sobie, że gdzieś wysoko jest kraina światła, miłości i prawdy. Tam cnota nie spodziewa się nieba, bo sama sobie jest celem. Tam występek piekła się nie lęka, tylko sam przed swoją szkaradą się wzdryga. My tam pójdziemy razem. Rozum twój będzie mnie prowadził, mój zapał wesprze twoje kroki. Wznosimy się coraz wyżej, wyżej. Obejmujemy coraz szersze widnokręgi. Drobne szczegóły znikną z przed naszych oczu, za to coraz jaśniej, coraz szerzej obejmujemy całość. Jacy oni biedni wszyscy tam w dole. Jak tam ciemno i zimno. Jakże oni nie mają tratować się wzajemnie, kiedy w tym mroku nie mogą zobaczyć dokładnie ani siebie, ani innych. Wyżej, wyżej wzbijamy się aż do samego źródła światła. Pełnemi rękoma zaczerpniemy tych jasnych promieni tam w górze i rzucimy im w dół, tam, gdzie króluje ciemnota, nienawiść i nędza. Pod wpływem słonecznej powodzi rozpromienią cię te dzikie twarze, wyszlachetnią dusze... Widzę zapał w twoich oczach... Rozumiesz mnie, prawda?.. Poprowadzisz mnie tam... Pójdziesz ze mną?..

zachodzącego słońca kroczy postać kobieca, jedną ręką zasłania twarz, drugą zdziera ze swej głowy słomianą koronę; za nią z boku stoi chłopiec, dźwigający kajdany, patrzy na kobietę zdziwiony jej ruchem. Za temi postaciami na siwym, uskrzydlonym koniu jedzie śmierć... jedzie zwolna, wstrzymując konia w biegu. Obraz ten tłómaczą rozmaicie, usiłując napróżno zdobyć od samego artysty tajemnicę jego pomysłu.

Dla kobiet, które dotąd nadaremnie pukały do wrót szkoły sztuk pięknych, założono szkołę malarstwa i rzeźby; tej ostatniej uczyć będzie Tola Certowiczówna, rzeźbiarka; dział malarstwa i rysunku zostaje pod kierownictwem Włodzimierza Tetmayera. Niejednokrotnie już podejmowano myśl stworzenia takiego zakładu, próby te dotąd rozbijały się zawsze; obecnie jest nadzieja, że szkoła rozwinie się pomyślnie.

I podwoje wszechnicy otwarto dla kobiet, dozwoliwszy kandydatkom uczęszczać na wykłady w uniwersytecie krakowskim i lwowskim po złożeniu egzaminu dojrzałości w gimnazyum lub egzaminu wydziałowego.

Młodzież uniwersytecka przez cały szereg lat pracowała z poświęceniem, zbierała grosz do grosza na fundacyę Domu akademickiego w nadziei, że sprawa ta, dotycząca zdrowia i życia wielu pokoleń, załatwiona zostanie pomyślnie. Dziś przeszła ona w ręce komitetu towarzystwa obywatelskiego, a na walne zebranie młodzieży akademickiej wpuścić nie chciano. Dopiero po długiej naradzie i po złożeniu deklaracyi przez prezesa Towarzystwa wzajemnej pomocy studentów uniwersytetu, że jego koledzy zachowywać się będą spokojnie, pozwolono im na galeryi być świadkami, jak traktowaną będzie kwestya tak wielkiej wagi dla nich. Młodzież powzięła myśl wystawienia niezależnego Domu akademickiego, niemającego nic wspólnego z bursą o wyszrubowanym systemie protekcyjnym i o regulaminie domowym. W tym celu zbierała składki, a w r. 1890 Towarzystwo wzajemnej pomocy studentów uniwersytetu zawarło umowę z komitetem obywatelskim, na mocy której odstąpiło mu swe znaczne, zebrane przez lat wiele kapitały, pod warunkiem, że członkowie jego zasiadać będą w komitecie z głosem stanowczym, że komitet ten zwróci Towarzystwu wzajemnej pomocy studentów wszelkie fundusze, złoży akta i rachunki, gdyby się postanowił rozwiązać. Na mocy listu fundacyjnego postanowiono dalej: że 1) wszystkie pieniądze, zebrane przez Towarzystwo wzajemnej pomocy i komitet obywatelski, jak i sam Dom akademicki, mają stanowić fundacyę w łonie Towarzystwa wzajemnej pomocy; 2) zarząd Domu, wyłączne prawo obsadzania miejsc, mianowanie zarządcy i służby, czuwanie nad zachowaniem porządku, służy pięciu akademikom, wydelegowanym przez wydział Towarzystwa wzajemnej pomocy; 3) komitet opiekuńczy stanowić będzie rodzaj rady nadzorczej, czuwającej nad zarządem Domu, odliczającej odsetki na naprawę lub rozszerzenie zakładu. Zgadzając się na ten list fundacyjny, przyjął komitet tem samem zobowiązania wobec młodzieży, ale ich nie dotrzymał. Przekształcił się samowolnie na *Towarzystwo* domu akademickiego i zmienił statut. Komisyi, złożonej z ośmiu akademików, wybranej na walnem zgromadzeniu Tow. wzajemnej pomocy, nie przyjęto w miejsce dawnych przedstawicieli, którzy ustąpili z powodu ukończenia studyów i przeważnie rozproszyli się po kraju. Obecnie tylko *jeden* reprezentant młodzieży zasiada w wydziale. Hr. Scipio powiada wprawdzie, że porozumienie między nowowybranym wydziałem a Towarzystwem wzajemnej pomocy jest wskazane, pożądane i leży w interesie obywatelskiego Towarzystwa domu akademickiego... Ale kiedy to porozumienie nastąpi i jakie? Przez usta swego delegata żąda młodzież, żeby stosunki te unormować najdalej w ciągu trzech miesięcy i to na podstawie zasad, wyłuszczonych w liście fundacyjnym. Do żądania tego nie przychylono się, pocieszając akademików nadzieją, że obywatelskie Towarzystwo budowy domu przyzna im prawa w regulaminie. Według nowego statutu, wydział ma największą, prawie wyłączną władzę, do kompletu na walnem zgromadzeniu potrzeba tylko 20 członków, nie można na takiem zebraniu przedstawiać żadnych wniosków, któreby już poprzednio nie były rozebrane na posiedzeniu wydziału; o przyjęciu członków, poleconych przez dwu wydziałowych, rozstrzyga balotowanie.

Sprawy statutu miejskiego, budżetu i kilku podobnych są nagłe, ale na ich załatwienie ojcowie miasta zdobyć się nie mogą, nie mają czasu... ani głowy, niebywałym strachem zdjęci przed widmem rozruchów, zjawiającem się tylko w ich wyobraźni... *Ar.*

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 6 kwietnia.

Towarzystwo pomocy naukowej. — Popieranie pracy niezależnej. — Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt. — Kółka włościańskie. — Rady chłopa Zmyślonego. — Odczyty pp. Tomaszewskiego z Kujaw i M. Jackowskiego. — Towarzystwo czytelni ludowych. — Wystawa rolnicza w Poznaniu. — Ułatwienia melioracyjne. — Kolonie letnie.

Pamięć d-ra Karola Marcinkowskiego przez długi szereg lat sławili i sławią dotychczas, liczni przedstawiciele warstw ukształconych, prawnicy, sędziowie, nauczyciele, lekarze i inni, którzy zawdzięczają zdobycie wiedzy temu człowiekowi. Przyczynił się on do zawiązania Towarzystwa pomocy naukowej. Zrazu popierało ono tych, którzy się poświęcali zawodom pedagogicznym i służbie sądowej. Znany atoli i szeroko rozwinięty w ostatnich czasach system wysyłania nauczycieli gimnazyalnych i urzędników sądowych — Polaków w głąb Niemiec, wpłynął na pewne zmiany—wynikło, że tak powiem, żywiołowo— w wybieraniu zawodów. Mianowicie ci wszyscy, którzy zamierzają korzystać z poparcia Towarzystwa, zaniechali karyery urzędniczej, a natomiast usiłują zająć placówki bezpośrednio niezależne od władzy państwowej, jak medycyna i adwokatura. Z drugiej jednak strony wytwarza to fatalne zjawisko społeczno - ekonomiczne: nadmiar adwokatów i lekarzy w kraju.

Wobec tego całkiem słusznie Towarzystwo zaczęło popierać inne kategorye młodzieży, wywalczającej sobie stanowiska również niezależne, jak rolnictwo, przemysł, kupiectwo. Jeżeli w tym kierunku instytucya wytrwa, położy ona wielkie zasługi dla społeczeństwa, bo odwróci je od roli służalczej, od karyerowiczowstwa zniepraawiającego duchowo. Należałoby jaknajszerzej dopomagać ludziom, poszukującym pracy fachowej samodzielnej, a więc między innemi ułatwiać kształcenie ogrodników, pszczelarzy, wszelkiego rodzaju rzemieślników, współdziałać w rozwoju i wytwarzaniu nowych gałęzi przemysłu, dopomagać do zrzeszania sił fachowych rozproszonych.

W roku przeszłym instytucya powyższa wydała na wsparcia 17,528 m. dla młodzieży, poszukującej wymienionych dróg praktycznych; 19,305 dla uczniów gimnazyalnych, 16,865 dla studentów uniwersytetu. Dochodów wpłynęło: ze składek zwyczajnych, opłacanych przez członków, 23,835 m., z ofiar nadzwyczajnych 6,781 i z procentów od listów, stanowiących sumę ogólną około pół miliona marek, 29,000 m., razem 59,616 m.

Mówiąc o Towarzystwie pomocy naukowej, niepodobna pominąć milczeniem innej instytucyi pokrewnej, istniejącej w Prusiech Zachodnich. Popiera ona młodzież, kształcącą się w różnych zakładach naukowych, i w r. z wydała na ten cel 10,000 m. Co do młodzieży, wspieranej w okresie szkolnym przez Towarzystwo poznańskie, trzeba przyznać, że w znacznej większości nie pozostaje ona dłużną, gdyż po zdobyciu stanowiska, zasila następnie swoją opiekunkę i tym sposobem dopomaga do ciągłego jej rozwoju.

Jest jeszcze inne Towarzystwo pomocy naukowej — dla dziewcząt, które powstało głównie dzięki zabiegom kobiet poznańskich. W roku przeszłym skończyło już ono 25 lat swego istnienia. Kosztem jego kształciło się w r. z. 106 dziewcząt: w wyższej szkole żeńskiej 20, muzyce poświęciło się 10, freblowszczyźnie 12, buchhalteryi 12, krojowi 19. Towarzystwo miało dochodu ogółem 17,124 m.; wydało 10,911 m. Wielką stratę tej organizacyi wyrządziła śmierć Emilii Sczanieckiej, która znacznie się przyczyniła do rozwoju i powodzenia instytucyi.

Prawdopodobnie pod wpływem różnych *Vereinów* niemieckich, kobiety poznańskie w ostatnich czasach ujawniają coraz większą dążność do pracy na polu praktycznem. Dążność ta zasługuje na poparcie i uznanie. Szkoda tylko, że ludność polska niewieścia nie może dotąd rozporządzać takimi środkami i instytucyami, jak kobiety niemieckie.

Nie mieliśmy dotychczas sposobności powiedzieć słów kilku o kółkach włościańskich i wogóle działalności ludu poznańskiego. Tak zwane kółka gospodarcze znacznie się przyczyniły do naprawy bytu materyalnego i rozszerzenia oświaty śród ludności siermiężnej. Dzięki temu chłop poznański podniósł znacznie kulturę swego gospodarstwa, wprowadził racyonalniejsze systemy w rolnictwie, ulepszył hodowlę bydła, słowem może prawie współzawodniczyć z chłopem niemieckim.

Niedawno odbyły się zebrania powyższych kółek, na których szczególną uwagę zwrócił chłop Zmyślony. Wypowiedział sporo ciekawych i pożytecznych uwag na temat — jak mają gospodarze wychowywać swoje dzieci? Kładł on silny nacisk na to, ażeby włościanie nie uszczuplali swych gruntów, nie rozdrabniali gospodarstw, lecz starali się kształcić synów w zawodach praktycznych, szczególnie rzemiosłach. Po zatem pożądane jest zakładanie po wsiach sklepów, zaopatrzonych w najniezbędniejsze dla gospodarstwa chłopskiego produkty i przedmioty. Zawody wyższe, jak np. karyerę naukową, powinny wybierać jednostki wyjątkowo zdolne. Mówca zjednał ogólne uznanie, jego zaś odczyt będzie wydrukowany i rozdany tym, którzy nie mogli uczestniczyć w zebraniach kółek.

Gawędził jeszcze p. Tomaszewski z Kujaw na temat — jak ma gospodarować właściciel posiadłości małej, tudzież p. Maksymilian Jackowski — o rachunkowości gospodarczej, temat godny tem większej uwagi, że wogóle lud poznański, posiadający mnóstwo cech dodatnich w zakresie racyonalniejszego gospodarstwa, odznacza się pewnem niedbalstwem w rachunkach. Być może pochodzi to stąd, że dotychczas nie miał on bodźca, ani też wskazówek praktycznych w tej mierze. Na kilka tysięcy członków kółek obecnie zaledwie kilkuset jako tako prowadzi rachunki swego gospodarstwa.

W obecnym okresie sprawozdań i przeglądów postnych nie możemy pominąć działalności Towarzystwa czytelni ludo-

wych, które rozpoczęło już siedemnasty rok istnienia. W roku ubiegłym dochód ogólny tej instytucyi wynosił 9,734 marek, mianowicie ze składek rocznych 4,500 m., z wpływów nadzwyczajnych 5,234. Wydatki pochłonęły 9,734 m. Książek rozpowszechniono w ciągu roku 20,014, założono nowych czytelni 58. Obecnie zarząd Towarzystwa stanowią pp.: prezes ks. Zdzisław Czartoryski, wiceprezes prof. dr. Z. Wituski, Kasyer dr. B Kapuściński, sekretarz dr. Wł. Łebiński i bibliotekarz dr. S. Jerzykowski.

Na zebraniu podano wniosek, ażeby zarząd zaproponował wybitnym członkom napisanie dzieła specyalnego dla Towarzystwa czytelni ludowych. Jako najodpowiedniejszą kandydatkę wskazano E. Orzeszkową; ktoś znowu radził poprosić p. Krechowieckiego o powieść historyczną.

Na zakończenie garść drobiazgów. Izba rolnicza już dziś postawiła na porządku dziennym sprawę wystawy, która ma być urządzona w Poznaniu 1900 r. Dotąd zgłosiło się już 58 wystawców z prowincyi. Uchwalono przedsięwziąć wszelkie środki i zabiegi, ażeby wystawa przyszła do skutku, gdyż Poznań uznano za punkt bardzo korzystny pod każdym względem.

Koło polskie w sejmie pruskim postawiło wniosek wielkich ułatwień melioracyi w gospodarstwach.

Komitet wydziału stałych kolonij wakacyjnych Towarzystwa „Stella“ dla ubogiej dziatwy poznańskiej, po kilkomiesięcznej pracy przygotowawczej przystępuje obecnie do utworzenia kolonij.

el.

LISTY Z PARYŻA.

Nowy akademik: Gaston Paris.

Miejsce Ludwika Pasteura zajął obecnie w akademii nieśmiertelnych Gaston Paris. Dziwnych zmian właścicieli doznają niekiedy fotele czterdziestki! Po bakteryologu badacz średniowiecznej literatury francuskiej, niewątpliwie jeden z najświatlejszych uczonych Francyi, ale zabawne to przecie słyszeć pochwały prac o kurzej cholerze i o fermentach winnych z ust znawcy słodkich pieśni o Trystanie i Izoldzie, albo bohaterskiego śpiewu Rolandowskiego.

Gaston Paris jest człowiekiem liczącym pięćdziesiąt kilka lat. Urodził się w 1839 r., uczęszczał do szkół w Paryżu. Skłonności jego zawodowe rozwinęły się szybko. Bo ojciec, Paulin, zapoznał go we wczesnej młodości z poezyą wieków średnich. „Dzieckiem już — pisze on, poświęcając rodzicowi swoją „Historyę poetycką Karola Wielkiego“ — znałem Rolanda, Bertę o dużych nogach i dobrego konia Bayarga nie mniej dobrze, jak Sinobrodego lub Kopciuszka. Opowiadałeś dziatwie czasami jedną z ich przygód i wrażenie wielkości bohaterskiej tych osób dotąd nie zatarło się w moich myślach. Potem w rozmowach z tobą, w twoich wykładach i książkach ciekawość moja znalazła zaspokojenie. Gdy wreszcie zapragnąłem studyować początki tych starych opowiadań, ich charakter i rozmaite kształty, twoja biblioteka, gromadzona z taką starannością od trzydziestu przeszło lat, dała mi do rozporządzenia materyały, które trudno byłoby mi zebrać, których często nie byłbym mógł się domyśleć. Twoja zachęta podtrzymała mię w badaniach, twoje rady uczyniły ich wynik mniej ułomnym.“

Szczęśliwa młodość, która mogła roztaczać swe listki i wysuwać gałęzie w kierunku upodobanym, której dążenia znalazły w kole najbliższych szczere poparcie.

Młody uczony udał się potem do Niemiec i spędził w Bonn i Getyndze kilka lat. W ostatniem mieście studyował pod kierownictwem Dieza. Filologiczny też dział pociągnął go nieco ku sobie; pierwsze jego prace: tłómaczenie Diezowskiego „Wstępu do filologii romańskiej“ i rozprawa o roli akcentu łacińskiego w języku francuskim.

Jednak po powrocie sympatye ku literaturze wzięły górę. W 1865 r. przedstawił wydziałowi literackiemu Sorbony dwie rozprawy, jedną łacińską o kronice Turpina, drugą francuską o Karolu Wielkim. Praca o królu Franków jest dotąd największą z napisanych przez Gastona Paris. Z wielką erudycyą i talentem pisarskim odtwarza on postać Karola Wielkiego na podstawie legend, czerpie nietylko z literatury ojczystej, ale sięga do piśmiennictwa Niemiec, Holandyi, Skandynawii, Anglii, Włoch i Hiszpanii.

Ojciec jego, znakomitość w zakresie średniowieczności, wykładał długo w College de France. Podeszły wiek i choroba zmuszały go przy końcu życia do przerywania prelekcyj, wtedy syn począł go zastępować. Po śmierci Paulina Gaston objął katedrę. Na niej wykłada dotąd, łącząc około siebie młodych uczonych, pełen uprzejmości, życzliwy, oddany każdemu, co chce prawdziwie pracować.

Niewielu jest ludzi posiadających podobną znajomość swego przedmiotu, co on. A jeszcze mniej podobnie jemu wie, jak bardzo wiedza nasza jest względną, i jak łatwo w tem, co dziś wydaje się nam mocnem, jutro ktoś dopatrzy rysów i szczelin. Stąd czuje prawie obawę ogłaszania swych prac, a jeśli ją od czasu do czasu pokona, to dopiero po wielokrotnem obejrzeniu tego, co wynosi na światło dnia, po wygładzeniu i wyszlamowaniu świadczącem zarówno o jego szacunku dla wiedzy, jak i o głębokości umysłu. W r. 1888 wydał znakomitą *Historyę literatury francuskiej w wiekach średnich*. Na każdej stronie pierwszorzędna erudycya. A jednak, chociaż przejrzał ją i poprawił kilkakrotnie, chociaż „nieraz“ przeczytał od początku do końca korektę, przez cały rok wstrzymywał się z odbiciem. Wydrukowawszy zaś, jak zastrzega się od zarozumiałości, jak bardzo „nie kryje przed sobą braków i wad książki!“

Ogranicza się więc rozprawami. Należy tu zaliczyć studya o Powieściach okrągłego stołu, o tłómaczu „Przemian“ Owidyusza, Krystynie Legonais, i o poecie z XIII wieku, Girardzie z Amiens, umieszczone w pomnikowem wydaniu „Historya literacka Francyi.“ Niektóre wykłady jakoteż rozprawki przystępniejsze szerszemu ogółowi zostały wydane w dwutomowej „Poezyi średniowiecznej“ (*Poésie du moyen age*). Nareszcie tom „Poeci i myśliciele“ zawarł kilka sylwetek z literatury współczesnej.

Ulubioną jego dziedziną jest krytyka. Wiadomo, że krytyka literacka znajduje się obecnie wszędzie w upadku. Tak ukochany przez naszych gazeciarzy Lemaitre nie dorasta kolan Sainte-Beuve'a. Psychologiczne wnikanie w pisarzy, wchodzenie w ich stany duchowe i zbliżanie w ten sposób czytelników i autorów niema w Paryżu wybitnego przedstawiciela.

I Gaston Paris do tego działu nie należy. Zresztą trudno tego wymagać w zakresie, który on wybrał. Od piętnastu lat *Journal des Savants* (nie mówię o *Revue Critique* i o założonym przezeń miesięczniku *Romania*, gdzie zawarte są mniejsze prace) mieści corocznie jedną lub dwie jego rozprawy krytyczne o świeżych pracach z dziedziny literatury lub filologii romańskiej. Są to rozbiory wielce sumienne, nic ma szczegółu, nad którymby się nie zastanowił. Rzec można, że do każdego swego sądu wybitny uczony prowadzi osobne badania i często zdarza się, iż rozbiór krytyczny dorównywa lub nawet przerasta rozmiarami rzecz ocenioną. Tak stało się naprzykład z książką Fioravantiego o Saladynie w średniowiecznych legendach Francyi i Włoch. Liczy ona 54 stronice ósemki, studyum Parisa o niej 44 *in quarto*.

Jest to prawdziwa rozkosz czytać owe rozprawy. Jasność umysłu i trzeźwość, logiczne szeregowanie materyałów przynoszą jakby echo książek Spinozy; podobnież styl wolny od napuszystości, twardy nawet, ale zarazem dźwięczny jak twardą i dźwięczną bywa ziemia zamarzła. Każda z nich posuwa istotnie sprawę naprzód, a jednak krytyk, który włożył w swoją pracę tyle trudu, który czasem sporo ma do wytknięcia, nigdy nie rozsiada się na pierwszym planie, nigdy nie wykracza z jak największej względności. Wszystko, co mówi, mówi tak delikatnie, że i wiedza odnosi korzyści z niezatajenia błędów i historyk literatury, o którym traktuje się, nie doznaje urazy. Gaston Paris ma pióro w ręku nie aby kaleczyć, lecz aby podnosić.

Przed kilku laty uczniowie jego nietylko francuscy, ale i cudzoziemscy, a w szczególności duńscy i szwedzcy obchodzili uroczyście pamiątkę jego dwudziestopięcioletniej działalności naukowej. Zasługiwał na to w zupełności. Dla określenia jego charakteru przytoczę jeszcze następujący szczegół:

Jako badacz wieków średnich Gaston Paris często miał do czynienia z podaniami ludowemi w całej ich różnorodności. Jednem z pytań, które zadaje sobie współczesny folklorysta, spotkawszy się z podobnym utworem, jest: jakie jego pochodzenie. Otóż w okresie, który przypada na młodość nowego akademika, pewna szkoła, podówczas bardzo wpływowa, posiadała gotową odpowiedź, „Mamy do czynienia z utworem indyjskim. Indye są krajem wielkich poematów epicznych i parabol budystycznych, tam w szczególności umysł był nastrojony do tworzenia baśni. Do Europy przenieśli je żołnierze Aleksanda Wielkiego, kupcy greccy, potem Saraceni, potem krzyżowcy, znowu karawany kupieckie.“

Gaston Paris w tym względzie przyłączył się do opinii bieżącej. W ostatnich jednak latach została ona wielce osłabioną. Podano w wątpliwość przeważną ilość jej wywodów i płaszcz, którym tyle motywów ludowych przykrywano, teraz prawie jest złożony ze strzępków. Otóż jednym z tych, co go najmocniej podarli, jest młody uczeń Parisa, dziś docent t. z. szkoły Normalnej w Paryżu, Józef Bédier, autor świetnego dzieła o starożytnościach francuskich Fabliaux. Opracował on większą część swego dzieła w seminaryum swego profesora, teoryę, którą tenże długo popierał, zwalcza szczegółowo i bez względów. I odparcie to zwycięskie poświęca właśnie — Gastonowi Paris.

„Bo — mówi w przedmowie — jest to jeden z tych mężów, którzy kochają wiedzę dla niej samej, nie zaś dlatego, co im się zdawało lub zdaje. Nie uważają się za wyłącznych posiadaczy prawdy i nigdy nie chcieliby być przeszkodą w dążeniu ku niej.“

Do dziś obaj są przyjaciółmi.

W. Bugiel.





PAMIĘTNIK.

Dwa dokumenty.

Czytelnicy nasi wiedzą, że *Prawda* ani wyraźnie, ani domyślnie nie zgrzeszyła naiwnością wniosków, wyciąganych z przyjaznych nam artykułów kilku pism rosyjskich i nie dostrzegła w tych, zresztą bardzo ogólnikowych sympatyach znaku jakiegoś zwrotu, jakiejś „nowej ery.“ Przeciwnie, pomimo zmian osobistych, widzieliśmy i widzimy w postępowaniu rządu względem naszego społeczeństwa nieprzerwaną ciągłość, konsekwentne rozwijanie tych samych zasad. Przekonanie nasze opieraliśmy naprzód na Najwyższych reskryptach do hr. Szuwałowa, do J. O. Ks. Imeretyńskiego, do A. Apuchtina, stwierdzających i zalecających ową ciągłość i ową konsekwencyę, powtóre na dowodach życiowych. Że pogląd nasz był słusznym, świadczą dwa nowe dokumenty, które ani swem pochodzeniem, ani treścią nie pozostawiają żadnej wątpliwości.

Półurzędowy organ rosyjski *Nord* w korespondencyi z Petersburga, powtórzonej przez *Warsz. Dniewnik*, pisze:

„Gazety austryacko-polskie z wielkiem zadowoleniem zaznaczają wyrazy, z jakiemi ks. Imeretyński zwrócił się do przedstawiających mu się wyższych urzędników i ze słów tych wysnuwają wniosek, iż rząd Cesarski zamierza zmienić swoją politykę względem ludności kraju Nadwiślańskiego. Rzeczone gazety przypuszczają, że wkrótce nastąpią zmiany polityczne w Nadwiślu i że rząd zaniecha tej mądrej polityki narodowej, jakiej się trzymał względem kraju w ciągu wielu lat i która, uspokoiwszy umysły, przyczyniła się do rozwoju tego kraju. Rząd Cesarski nie myśli zmieniać swojej polityki. Ściśle legalne i życzliwe względnie do Polaków słowa ks. Imeretyńskiego są tylko powtórzeniem poglądów, sformułowanych w reskrypcie Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana do hr. P. A. Szuwałowa. Rząd nie zmieni swojego sposobu postępowania i nie zrobi choćby najmniejszego ustępstwa utopijnym marzeniom mieszkańców kraju Nadwiślańskiego (*Vistuliens*). Ponieważ kwestya ta jest ostatecznie zdecydowaną, przeto też rząd nie odstąpi od swojego utrwalonego planu postępowania. Lecz przy każdym objawie szczerości ze strony ludności Nadwiśla rząd będzie gotów zrobić dla kraju wszystko, co nie stoi w sprzeczności z ogólnymi interesami państwa rosyjskiego, a może jednocześnie przyczynić się do postępu i dobrobytu pomienionej części Cesarstwa. Takie instrukcye były dane hr. Szuwałowowi i takiemiż są instrukcye, jakie otrzymał J. O. Ks. Imeretyński. Rosya i rząd jej zawsze popierały poprawne zachowanie się ludności nadwiślańskiej i nie odmawiają jej niczego, co tylko będzie możliwe. Takie jest istotne położenie rzeczy i byłoby zupełnie bezcelowem zaciemnianie go opacznem rozumowaniem.“

Według *Warsz. Dniewnika*, nowy kurator okręgu naukowego warszawskiego, W. N. Ligin, przyjmując dyrektorów, inspektorów i przełożone szkół, przemówił do nich w następujących słowach:

„Dwaj moi poprzednicy w zarządzie warszawskiego okręgu naukowego, zgasły kurator Witte i senator Apuchtin, przez swoją niezmordowaną 30-letnią działalność, umocnili w kraju te zasady rosyjskiego wychowania młodzieży, na których obecnie opiera się bieg spraw wykształcenia w okręgu. Teraz Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan w miłościwym reskrypcie, wystosowanym do senatora Apuchtina, wzywa nas do ścisłej i niezachwianej obronytych zasad w przyszłości. Niechaj te słowa, idące z wysokości Tronu, będą kamieniem węgielnym wszystkich dalszych prac i działań naszych.

Kierując się niezachwianie temi zasadami, starać się będziemy, aby wybierane przez nas środki do ich urzeczywistnienia i zastosowania były zawsze w zupełnej zgodzie zarówno z ważnem zadaniem państwowem tych zasad, jako też z wysokim celem powierzonego nam wychowania dorastających pokoleń. Gorąco pragnąc, aby szkoła nasza ustawicznie się wznosiła do należnej jej wysokości, budzącej powszechny względem siebie szacunek, dążyć będziemy wszystkiemi drogami — a przedewszystkiem własnym przykładem, do rozwoju w uczącej się młodzieży poczucia legalności, obowiązku i sprawiedliwości.

Ale w sprawie wychowania bardziej, niż w jakiejbądź innej, postęp zależy zupełnie od zgodnych usiłowań wszystkich tych, co są do tego powołani. Stąd liczę niezłomnie na waszą solidarność, wszechstronne współdziałanie, oparte na waszem doświadczeniu, a zwłaszcza polegam na bezgranicznem poświęceniu się tej sprawie.

Tak pojmując zadanie, witam was jako najwybitniejszych, bezpośrednich współpracowników moich: niech nam dopomoże Bóg w naszej wspólnej a odpowiedzialnej pracy.“

Na podstawie tych dwu dokumentów *Swiet* szydzi z „politykujących Polaków“ i wykazuje bezzasadność ich złudzeń.

Powód kasacyi.

Gazeta Sądowa, która pod nową redakcyą podnosi umiejętnie ważne zagadnienia prawne, zajmujące nietylko specyalistów, podała w jednym z ostatnich numerów przebieg nader ciekawej i charakterystycznej sprawy. Skutkiem rozmaitych starć i zatargów weszła do warszawskiego zjazdu sędziów pokoju skarga p. F. Olszewskiego, b. redaktora *Kuryera Warsz.*, o potwarz przeciw hr. Miłowskiemu. Podczas rozpoznawania jej obrońca hr. M., adwokat petersburski Andrejow, oświadczywszy, że nie zna języka polskiego, zażądał tłomacza, któryby mu przełożył słowa świadków, zeznających po polsku. Sąd odmówił temu żądaniu, zaznaczywszy, że owe zeznania są dla niego zrozumiałe. Wówczas p. A. poprosił, ażeby upoważniono jego klienta do wystąpienia w roli tłomacza. Na to sąd się zgodził i hr. M. przekładu dokonał. P. Olszewski sprawę przegrał i podał do senatu skargę kasacyjną, którą oparł na tym fakcie, że przy sądzeniu sprawy nie było urzędowego tłomacza, któryby przekładał zeznania świadków polskich. Senat skargę uwzględnił i wyrok skasował, wydawszy jednocześnie polecenie, ażeby wszystkie zjazdy miały zawsze tłomaczów dla zeznań, składanych w języku polskim.

Nowe „ausrotten.“

Jak wiadomo, studenci niemieccy tworzą odrębną, zmurszałą gałąź młodzieży akademickiej całego świata i odróżniają się od studentów wszystkich ziem i narodów głównie tem, że stanowią żywioł wsteczny, zasadom swobody i postępu wrogi, do popierania najskrajniejszej reakcyi zawsze gotowy. Dzięki temu Bismark używał i dotąd używa największej czci śród burszów. Nieprzyjazna postawa rządu pruskiego względem Polaków nie zadawala ich, pragną oni posunąć nietolerancyę jeszcze dalej. Wychodzący w Hanowerze organ związku studentów politechnik niemieckich, *Akademische Mitteilungen*, zamieszcza znamienny pod tym względem przedruk artykułu z *Deutsche Zeitung*. Autor żąda ni mniej ni więcej, tylko usunięcia z tych zakładów wszystkich cudzoziemców i dopuszczenia ich o tyle, o ile w laboratoryach i salach rysunkowych pozostaną miejsca, niezajęte przez Niemców. Rozumowanie swoje uzasadnia on w ciekawy sposób: „Jeżeli zważymy — powiada — że obcy studenci jako inżenierowie i chemicy zajmują *za granicą* (im Auslande) te stanowiska, które *inaczej byłyby obsadzone przez Niemców*, że ludzie ci *za granicą* cudzemi pieniędzmi a z pomocą niemieckiej wiedzy i techniki zakładają fabryki, że skutkiem tego przemysłowi niemieckiemu zabierają rynki zbytu, przeszkadzając, ażebyśmy za nabywane tam zboże płacili produktami naszego wyższego przemysłu, to dojdziemy do przekonania, że krajemy sobie własne ciało... Niech panowie z Rosyi i państw bałkańskich studyują sobie spokojnie u nas ogólne nauki, filozofię, filologię i sztukę, ale nie to, które są związane z materyalnem dobrem narodu.“

Szczerze, bo szczerze! Politechniki niemieckie tedy powinny wygnać obcych studentów, ażeby krajowcy *za granicą* nie mogli zajmować lepszych posad w fabrykach Łodzi lub Bukaresztu i odstępowali je Niemcom, ażebyśmy nie mogli zaspakajać swych potrzeb własnym przemysłem, lecz posługiwali się ciągle niemieckim, słowem, ażebyśmy nie spożywali własnego chleba, lecz tylko przypatrywali się z głodnemi minami, jak go zjadają Niemcy. *Nota bene* wiedzieć trzeba, że prawo kształcenia się w politechnikach niemieckich kosztuje setki rubli rocznie, a na życiu naszych synów ludność tamtejsza rocznie zarabia tysiące rubli. Zaiste dziwić się trzeba, że ci nowi apostołowie, głoszący *ausrotten*, nie wymagają od profesorów, ażeby nie ogłaszali swoich prac drukiem, bo przecież i z książek czerpać można „nauki, mające związek z materyalnem dobrem narodu.“ Doprawdy w całej tej sprawie nie tyle my i wogóle obcokrajowcy budzą litość, ale Niemcy. Bo wobec takich dzikich głosów zapytać trzeba, gdzie się podziały wspaniałe tradycye naukowe i społeczne tego narodu!

Orkiestra niemiecka.

Towarzystwo łyżwiarskie, zamówiwszy sobie na lato orkiestrę p. Meydera, znalazło się w kłopocie wobec wykazywanej przez prasę potrzeby zerwania wszelkich stosunkach z Niemcami za ich niecnoty względem Polaków pruskich. Jak donosi *Kuryer Codz.*, postanowiono zapłacić karę kontraktową 5,000 rs. i orkiestrę odprosić. Według naszego przekonania, jest to pomysł niedobry. Bo przedewszystkiem p. Meyder, zyskawszy bez trudu 5,000 rs., znajdzie sobie łatwo inne miejsce i na naszym gniewie zarobi. Powtóre, ponieważ Towarzystwo zapewne nie poręczyło mu dochodu, więc nic na tem nie straci, jeżeli on nie będzie miał słuchaczów. A czy ich nie będzie miał? Otóż właśnie nadarza się wyborna sposobność sprawdzenia, czy nasze pogróżki są zdolne zamienić się na czyny, czy też pozostaną pustemi słowami. Więc owszem, niech p. Meyder ze swoją drużyną przyjedzie, a my przecież możemy nie uczęszczać na jego koncerty. Gdyby zaś mimo wszystkich przysiąg, uroczystych zapowiedzi i niezłomnych postanowień, Dolina Szwajcarska była zatłoczona gośćmi, skorzystamy na tem wiele, osiągnąwszy niezbity dowód siły owych przyrzeczeń. Trzeba opinię publiczną powoływać do składania publicznych egzaminów, świadczących o stopniu jej dojrzałości. Zamiast tedy ponosić dużą i bezpłodną ofiarę, niech Towarzystwo łyżwiarskie nie zwalnia p. Meydera z umowy i usilnie nalega, ażeby do Warszawy przybył, bo właśnie w tym roku będzie nam szczególniej pożądany. Ale żart na bok. Jaką drogą ten p. Meyder został zwerbowany, poucza zamieszczony w dzisiejszym numerze *Prawdy* protest jednego z członków.

Z etyki lekarskiej.

Dr. W. Biegański zamieścił w *Krytyce Lekarskiej* garść „myśli i aforyzmów o etyce lekarskiej,“ między któremi znajduje się kilka godnych uwagi, bo zawierających w sobie istotne prawdy życiowe.

„Spółczesna medycyna — powiada on — dba głównie o wiedzę, o wykształcenie swych uczniów, pomija zaś to, co w działalności lekarza ma bodaj czy nie większe znaczenie, mianowicie wychowanie. Dlatego też spółcześni lekarze są może nawet bardzo wykształceni, ale bardzo często źle, jak na lekarzy, wychowani.“

„Skąd lekarz ma czerpać ideały etyczne? Jako uczeń medycyny widzi w klinikach i szpitalach tylko bałwochwalczą cześć dla wiedzy, erudycyi i ciekawych przypadków; jako lekarz spotyka w praktyce tylko bezwzględną gonitwę za groszem, zawiść i walkę o byt. Wśród takich warunków nawet najgorętsza dusza wystygnąć musi.“

„Kto z lekarzy ma współczucie dla cho-

rych i wiedzę, ten może być pewnym powodzenia w praktyce. Wiedza bez współczucia rzadko daje powodzenie, częściej współczucie z odrobiną wiedzy."

„Mówią, że lud nasz nie chce się leczyć, lecz ja sądzę, że lekarze nie umieją go leczyć."

„W kobiecie współczucie jest zawsze więcej rozwinięte, aniżeli w mężczyźnie; to też z radością witam dążność kobiet do medycyny. Może wniosą one do niej ten pierwiastek filantropijny, którego brak nieraz dzisiaj uczuwać się daje."

Takie uwagi należą do etyki, ale nie reguły etykiety lekarskiej, śród których koleżeństwu staje się zadość, ale chory wędruje na cmentarz.

Po spisie jednodniowym

Z góry można było przewidzieć, że tak olbrzymie przedsięwzięcie, po raz pierwszy zorganizowane na rozległych obszarach państwa, zamieszkałych przez ludność różnoplemienną, różnojęzyczną, różnowierczą i na różnych szczeblach rozwoju ekonomicznego i umysłowego stojącą, nie może się udać doskonale. Z góry też było wiadomem, że wybór rachmistrzów, nie zawsze szczęśliwy, może wyrządzić krzywdę wielkiemu dziełu. Jakoż prasa rosyjska i polska już dziś ujawniła szereg nadużyć, popełnionych przez rachmistrzów. „Najosobliwszy i bodaj jedyny wypadek — piszą gazety — zdarzył się w pow. Janowskim, gub. Lubelskiej. Dn. 22 stycznia naczelnik powiatu okólnikiem (nr. 449) nakazał wójtom zwołać zebranie gminne i uchwalić składkę rs. 100 od każdej gminy na wynagrodzenie rachmistrzów. W gminie Chrzanów zebranie odmówiło składki, lecz pisarz oświadczył, że bez względu na to 100 rs., stosownie do rozkazu naczelnika powiatu, wnieść musi i z gminy ściągnie. Niemałą również osobliwością jest odbita na maszynie do pisania instrukcya jednego z rachmistrzów m. Warszawy, p. Aleksego M-ina. Wydaje on tam, wbrew tylu rozporządzeniom i wyjaśnieniom, taki rozkaz: „Jeżeli gospodarz mieszkania nie może wypełnić rubryk po rosyjsku, to proszę w swoim czasie mnie o tem zawiadomić." Podobne również drukowane rozporządzenia, rozdał rachmistrzom jeden zarządzający okręgami Warszawy. Wiele osób za pośrednictwem prasy uskarża się, że stanowczo nie pozwolono im osobiście wypełniać arkuszów spisowych lub pozwolono, pod warunkiem, że nie użyją języka polskiego. Ofiary tych nadużyć podały skargi do p. senatora Jewreinowa, który je przyjął życzliwie i przyrzekł rozpatrzyć. Takie samo pogwałcenie przepisów w pow. Nowomińskim i Pułtuskim gub. Warszawskiej, tudzież Lubartowskim gub. Lubelskiej, również ujawniono za pośrednictwem prasy. Gdy np. w Lubartowskiem nie chciano przyjąć schematu, wypełnionego po polsku, a osoba, dotknięta tem, powołała się na informacye gazet, rachmistrz oświadczył, iż ma instrukcye inne. W tymże powiecie rachmistrz przy wypełnianiu rubryki „język ojczysty" zapytywał, czy dana osoba *mówi* po rosyjsku, a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, wpisywał jako „język ojczysty" — rosyjski. Mnóstwo było wypadków, że w prywatnych mieszkaniach rachmistrzów zmieniano schematy oryginalne na inne i dla udogodnienia tej zmiany używano ołówka zamiast pióra. W pow. Szawelskim gub. Grodzieńskiej rachmistrz przekreślił w rubryce „czy umie pisać" odpowiedź: „tak, po polsku," i napisał: „tak, po żmujdzku." Pomimo iż w instrukcyi drukowanej na blankietach zalecono wyraźnie odróżniać narzecze białoruskie i maloruskie od języka rosyjskiego, znaleźli się rachmistrze, którzy uznać tego nie chcieli. Tym sposobem drobiazg urzędniczy, powołany na rachmistrzów, wyrządził szkodę wielkiemu dziełu, na które wyłożono miliony, a jednocześnie pogwałcił wolę Monarszą, wyraźnie nakazującą, ażeby poprzestawano na tem, co podyktuje sumienie ludności w rubrykach pochodzenia i języka. Wobec niewłaściwego zachowania się drobnych wykonawców spisu jednodniowego, ludność ciemna ujawniła wielką nieufność względem całej tej roboty. W okolicy np. Nieświeża i Cimkowicz (gub. Mińska) nakazano, ażeby włościanie nie ważyli się wyruszać z domu przed ostateczną kontrolą. Wielu narażono tym sposobem na straty materyalne. Takie wykonanie spisu pozostanie na długo w pamięci mas ciemnych i trzeba będzie przy następnej organizacyi wielu usiłowań, ażeby zniweczyć skutki nadużyć obecnych. Smutne doświadczenie wskazuje, że w przyszłości trzeba staranniejszy czynić wybór przy powoływaniu ludzi na wykonawców spisu.

Zapis hr. Kickiego.

P. Białecki, ustępując ze stanowiska opiekuna-administratora fundacyi hr. Kickiego, zdał ostateczny rachunek i rozesłał go redakcyom. Ze względu na rozmiary, nie możemy tego sprawozdania dać w całości, a nawet w obszernem streszczeniu Referat dotyczy ostatnich lat czterech. Wykazuje on, że kapitał zapisu zwiększył się skutkiem konwersyi listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego o 1,350 rs. Dobra Orłów przyniosły: r. 1892/3 dochód czysty rs. 5,470 kop. 27; r. 1893/4 rs. 1,554 k. 8; r. 1894/5 niedobór rs. 1,901 k. 29½; r. 1895/6 dochód czysty rs. 4,358 k. 9. Żadnych zaległości płatniczych obecnie nie mają. Dobra Rzyczki (w Galicyi) przynosiły w ostatnich czterech latach po 5,000 rs. czystego dochodu. Sobieszyn i Blizocin dały dochodu czystego: r. 1892/3 rs. 1,297 k. 17; r. 1893/4 rs. 1,985 k. 51; r. 1894/5 rs. 3,836 k. 30; r. 1895/6 rs. 1,909 k. 91. Nadto w r. 1896 wpłynęło do kasy jednorazowo za grunt, oddany na budowę szosy wojskowej, rs. 2,579 kop. 29. Dalej dowiadujemy się, że czynsz dzierżawny za posesyę na Pradze i za kolonie Szamocin i Józefin podwyższono, że dom w Warszawie przynosił w ciągu ostatnich lat czterech czystego dochodu średnio po rs. 1,816 rocznie; że wreszcie fundusz, zaoszczędzony w listach zastawnych m. Warszawy, wynosi 15,000 rs. i gotowizna 7,457 rs. 80½ kop. Pozostaje niewyjaśniona dostatecznie rzecz niezmiernie ważna: sposób użycia dochodów. Na początku swego referatu p. Białecki wyjaśnia, iż publicznemu ogłoszeniu rachunków z ostatniego czterolecia stanęły na przeszkodzie: nagromadzenie się naraz rozlicznych a terminowych zajęć, jak budowanie, organizowanie i otwieranie szkoły, zamykanie i sprawdzanie dużych rachunków budowy, zmiana oficyalistów i dzierżawców, procesy, sprawy bieżące, konieczne podróże w różne strony kraju, za granicę i do Petersburga. Takiem tłómaczeniem się p. Białecki sam siebie oskarża; bo czyż te wszystkie powody mogą usprawiedliwić zwłokę rachunków publicznych nawet wobec ludzi bardzo naiwnych? Ładnieby wyglądała gospodarka państwa, gdyby np. minister skarbu przez parę lat nie ogłaszał rachunków dlatego, że budowano nowe koleje, skupowano prywatne, zmieniano administracyę itd. Rachunki instytucyj publicznych powinny być jasne i systematyczne. Trzymanie ich przez długi czas w tajemnicy musi zachwiać wiarę ogółu nawet najpobłażliwszego; musi zarazem ujemnie oddziałać na interesy instytucyj i zaszkodzić ich kierownikom. Niema tu ani okoliczności łagodzących, ani najważniejszych kłopotów i zajęć, które zupełnie usprawiedliwiłyby to zaniedbanie obowiązków społecznych.

BADANIA NAUKOWE.

KOSMOS I SPOŁECZEŃSTWO

(z powodu Z. Heryngа: „Logika ekonomii").

II.

„Energia społeczna"


Społeczeństwo jest bądź co bądź tylko cząstką wszechświata, rozwój zaś jego — jedynie szczególnym objawem powszechniejszej ewolucyi. Wychodząc z takiego założenia, niewątpliwie słusznego, Herbert Spencer usiłował przedstawić zjawiska społeczne w kategoryach materyi i ruchu. Próby podobne mają bezwarunkowo pewną doniosłość, byleby nie przeszły w nadużycie. Wprawdzie nie tłomaczą nam one istoty więzi społecznej, nie wyjaśniają procesów dziejowych, bo nic nowego nie dodają i nawet nie mogą dodać do tego, co już wiemy. Im zjawiska, badane przez pewną naukę, są bardziej złożone i przedmiotowe, tem taki rzut oka na odpowiednią dziedzinę z wysokości kosmosu dostarcza banalniejszych ogólników, bynajmniej nie pomnażających naszej wiedzy o przedmiocie. Uogólnienia rozległe bywają dość jałowe. Całe znaczenie ich polega na tem, że wiążą pewne specyalne objawy, w danym razie społeczne, z całością wszechświata i rozszerzają nasze widnokręgi filozoficzne, tj. przypominają nam, że jesteśmy cząstką przyrody.

Spencer wykazał, że możemy rozwój społeczny badać ze stanowiska materyi i ruchu. Z. Heryng stara się to samo zastosowanie zrobić z kategoryami energii kinetycznej i potencyalnej. Jest to więc także rozpatrywanie społeczeństwa z punktu całości wszechświatowej — pozornie. Filozof angielski sprowadza zjawiska społeczne do kategoryj realnych, przedmiotowych: materyi i ruchu. Autor *Logiki ekonomii* tymczasem zastosowywa pewne wyrażenia, będące wetknięcie w przyrodę stanów naszej jaźni, bo terminy energii, o ile przynoszą pożytek, są tylko skróconym sposobem wyrażania pewnych stosunków otaczającego wszechświata; o ile zaś bierzemy je w innem znaczeniu, popełniamy postępek nieuprawniony. Fizyk wsadził w kosmos pewne pojęcia, zaczerpnięte z naszej świadomości, p. Z. Heryng zaś zapożycza u niego taki rynsztunek dla objaśnienia objawów społecznych.

Na upartego, terminy energii mogą być użyte w zastosowaniu do społeczeństwa, bylebyśmy pamiętali o granicach, po za któremi użycie staje się nadużyciem, oraz skróconych znaków słownych dla wyrażenia pewnych stanów nie robili istnościami. Nie mamy nic przeciw temu, ażeby w tych terminach przedstawiono procesy całego wszechświata, w tej liczbie też społeczne, pod warunkiem jednak, że będziemy zawsze zdawali sobie jasno sprawę z istotnego znaczenia symbolów słownych oraz ich stosunku wzajemnego w poszczególnych przyrodziewkach: energii ruchu mechanicznego, świetlnego, chemicznego itd.

Z. Heryng stwarza termin nowy: energii społecznej.

„Energią społeczną—pisze on (str. 52)—nazywać będziemy tę część ogólnej energii kosmicznej, która się zjawia w procesach indywidualnego (?) i społecznego życia jednostek, tworzących pewien społeczny układ i dzięki której żywotność całego układu społecznego oraz oddzielnych jego składników podtrzymuje się i wzmaga."

Autor *Logiki ekonomii*, określając tak energię społeczną, robi pewne zastrzeżenia, wskazujące, że kategorya ta jest tylko szczególnym przypadkiem pojęć powszechniejszych, właściwych kosmosowi. „Wprowadzając do nauki nowe pojęcia energii społecznej, nie chcemy bynajmniej przez to powiedzieć, jakoby istniała pewna specyalna forma ruchu społecznego, podobnie jak istnieją pewne specyalne formy ruchu mechanicznego, świetlnego, elektrycznego, nerwowego itd. Przeciwnie, twierdzimy stanowczo, iż specyalna forma taka nie istnieje, na energię zaś społeczną składają się cząstki energii mechanicznej, świetlnej, elektrycznej, nerwowej itd., występujące przy odpowiednich działaniach bądź w organizmach ludzkich, bądź zewnątrz tych organizmów. Określonej sumie takich cząstkowych energij o tyle nadajemy miano energii społecznej, o ile procesy odnośne, zachodzące w łonie społecznego układu, odbywają się na jego korzyść, tj. przyczyniają się do podtrzymania i wzmożenia czy to różnorodnych form życiowej energii jednostek, czy też energii układu społecznego, jako całości."

Uznając, że „wszystkie formy energii sprowadzić można do dwu zasadniczych postaci: kinetycznej i potencyalnej," Z. Heryng usiłuje rozszerzyć obie te kategorye na zjawiska życia ekonomicznego. Atoli oba pojęcia energii społecznej, czynnej i możebnej, idą w jego książce samopas: energia kinetyczna społeczna nie zamienia się bezpośrednio na potencyalną. Z nieistnieniem zaś takiej zależności wprowadzone terminy nie dostarczają żadnego istotnego uogólnienia, lecz są tylko prostymi dźwiękami. Wątpliwości te nasunęły mi się przy rozbiorze definicyi wartości, dokonanej rzekomo z punktu teoryi o energii.

„Każdy przedmiot przedstawia jednocześnie: dla producenta pewną ilość kinetycznej energii społecznej *już zużytej*, dla konsumentów zaś pewien zasób potencyalnej energii społecznej *do zużycia*. Skoro zaś obie strony, targujące się o cenę danego przedmiotu, oceniają w gruncie rzeczy dwie różne tylko postacie energii społecznej, i to postacie wzajemnie w pewnych warunkach zamienialne, to cóż nad to naturalniejszego, iż mogą one dojść do porozumienia się co do ceny?" (str. 193). Nie chcemy bynajmniej przez to powiedzieć, iż tu istnieje ścisłe zrównanie, tj. że tyleż energii potencyalnej zyskuje układ, nabywający dany przedmiot, ile energii kinetycznej zużył ten układ, który przedmiot ów wyprodukował... O ścisłej więc równości ilościowej obu tych form energii społecznej nie może być w danym razie wcale mowy. To też chodziło nam tylko o wykazanie, że zachodzi tutaj *wzajemna ich odpowiedniość*, oraz że energia społeczna stanowi ów wspólny czynnik, do którego sprowadza się ostatecznie zarówno użytkowa, jak i wymienna wartość" (str. 193, 194).

Musimy szczerze się przyznać, że poddając rozbiorowi powyższy ustęp, nic zgoła nie możemy zrozumieć, jeżeli, porzuciwszy „ów wspólny czynnik," zapragniemy uprzytomnić sobie to, co istotnie pod nim się ukrywa. Pojmujemy myśl autora, mianowicie że przedmiot dla kogoś przedstawia pewne zużycie „energii kinetycznej," że dla nabywcy jest on pewnym zasobem „energii potencyalnej"; w dalszym ciągu przyznajemy, iż praca, którą zużyto na pewien wytwór, może rościć prawo do nazwy energii społecznej, jeśli ktoś koniecznie upiera się przy stwarzaniu nowych terminów. Ale doprawdy trudno nam dociec, skąd towar nabył „potencyalnej energii społecznej," oraz dlaczego pomiędzy nią a energią społeczną kinetyczną musi zachodzić „wzajemna odpowiedniość" i czemu z „zamienialności tych dwu postaci energii społecznej nawzajem" wypływa możliwość porozumienia się do ceny, gdy nigdzie nie udowodniono w książce takiej mianowicie zamienialności.

Co do tego możliwe są trzy przypuszczenia:

1) Kinetyczna energia społeczna, obrócona na wytworzenie przedmiotu, „zakrzepła" w nim i zamieniła się tem na energię potencyalną społeczną. Takie tłómaczenie byłoby w zgodzie z niektóremi miejscami tylko co przytoczonego ustępu. Ale wątpię, czy p. Z. Heryng miał na myśli coś podobnego, bo najprostszy przykład musiałby mu wykazać niestosowność takiego twierdzenia. Przypuśćmy, trzeba mi wytoczyć walec. Ręka moja porusza dłutko, noga zaś koło, tj. zamienia „energię potencyalną" tkanek organizmu na „kinetyczną" — pracy. Ta ostatnia przechodzi w ruch mechaniczny tokarni i rozchodzi się dalej w drganiach powietrza i rozgrzaniu warsztatu, zamienia się na drgania (ciepło) dłutka i drwa itd. Ale w danym razie ani jedno jej źdźbło nie zakrzepło w walcu, jako energia potencyalna. Pomiędzy energią kinetyczną społeczną, którą zużyto na przedmiot, i zasobem energii potencyalnej społecznej, jaki ów produkt ma przedstawiać dla spożywcy, niema związku wzajemnego, ani zamienialności jednej na drugą. Może w innych przypadkach da się coś podobnego wykryć, ale zasada, nie obejmująca ogółu objawów pewnej kategoryi, przestaje być zasadą, „prawem," jak niekiedy mówią.

2) Kinetyczna energia społeczna nie przechodzi, tj. nie zamienia się na energię potencyalną społeczną, ta ostatnia zaś tkwi w przedmiocie jako istniejąca od przyrody już przed dokonaniem pracy i niezależnie od niej. Dla walca będzie to energia potencyalna chemiczna, trzymająca atomy węgla, wodoru, tlenu itd. w cząsteczkach drzewa, dalej energia potencyalna zjednoczonych tkanek itd. Nadaliśmy kawałkowi drzewa pewne kształty, lecz w tej czynności nie stworzyliśmy w nim nowego zasobu energii potencyalnej, tylko umożliwiliśmy korzystanie z tego, który był już tam zawarty. Potencyalna energia społeczna, jeśli nie ma przeniewierzyć się swej treści kosmicznej, byłaby w tym razie tylko prostą energią potencyalną, której nadano nazwę społecznej, ponieważ człowiek ją zużywa — bez związku z energią kinetyczną społeczną. Ale jeżeli tak wytłómaczymy rzecz, naówczas nie widzimy najmniejszego racyonalnego powodu, dlaczego pewien przedmiot ma przedstawiać „nawzajem odpowiednie" ilości energii kinetycznej społecznej i energii potencyalnej społecznej. Można wytworzyć walec w jednej epoce dziejowej z większym nakładem pracy, w innej, np. naszej, użytkującej z automatów-maszyn, wyrób wymaga mniejszego wysiłku. Innemi słowy, energia kinetyczna społeczna, na ów sprzęt zużyta, będzie bardzo zmienna, tymczasem potencyalna byłaby stała. Oba terminy więc istnieją niezależnie, i doprawdy nie możemy zrozumieć, co wiedza ekonomiczna może zyskać na takiem przedstawieniu, zacierającem pojęcia znane i jasne przez niejasne, które dopiero trzeba rozgryźć jak łupinę orzecha.

3) Zdaje się jednak, iż myśl Z. Herynga jest inna, mianowicie że owa energia potencyalna społeczna, którą rozpatrujemy, tkwi nie w przedmiocie (jak należałoby wnioskować z wyrazów: „zasób energii do zużycia"), ale w spożywcy, oraz w jego układzie. „Dla konsumenta wytwór tylko o tyle posiada pewne znaczenie, o ile dzięki temu wytworowi konsument jest w możności uzupełnić w tym lub innym kierunku *swą* potencyalną energię społeczną" (str. 193); w innych ustępach prócz „uzupełnienia" jest jeszcze mowa o „zaoszczędzaniu," nawet o „rozwijaniu" tej energii (str. 247, 248, 253). Każde z tych wyrażeń nasuwa zgoła inne tłomaczenie, ale poprzestaniemy tylko na tem, jakie daje mu autor w pewnem miejscu. „Kuśnierz np. wie, ile mniej więcej pracy (energii kinetycznej) trzeba było zużyć przy robocie futra; natomiast nabywca nie ma zazwyczaj żadnej możności ścisłego obliczenia, jaką ilość energii biologicznej *in potentia* zdoła on sobie przez nabycie futra zachować, gdyż ilość ta zależną jest od średniej temperatury w ciągu tych kilku zim, przez które futro będzie zdatne do użytku" (str. 194). Energia potencyalna społeczna (występująca tutaj już w innym przyodziewku, jako biologiczna) byłaby więc wprost równoznaczna z pojęciem użyteczności przedmiotu. Ale naówczas o „odpowiedniości wzajemnej" pomiędzy obu formami energii społecznej nie może być nawet mowy, bo palto np. (zamiast futra bierzemy materyały, których produkcya bardziej podlega postępowi technicznemu) mniej więcej będzie oszczędzało *caeteris paribus* tę samą ilość „energii biologicznej *in potentia*," tymczasem w miarę postępu techniki może ono zawierać dwa i trzy razy mniejszą ilość pracy, tj. energii kinetycznej społecznej.

4) Odpowiedniość owa, bez której całe określenie wartości Z. Herynga będzie grą wyrazów, istnieje tylko wtedy, jeśli bierzemy rzecz tak, jak robią ekonomiści, twierdzący, iż wartość przedmiotu mierzy się tą ilością pracy niezbędnie społecznej, jaką nabywca musiałby zużyć, odtwarzając osobiście nowy okaz danego przedmiotu. Ale ażeby autor tak myślał, nie mamy w książce Z. Herynga żadnej wskazówki. W tym jednak razie, tj. przypuszczając, iż *Logika ekonomii* właśnie broni takiego poglądu, analizowana definicya wartości jedynie w sposób złożony i zawikłany tłomaczyłaby nam pojęcia jasne i ustalone na język terminów pseudo-kosmicznych, tj. nie stwarzałaby nowej wiedzy, ale układałaby niepotrzebny słownik.

Zatrzymaliśmy się nad zasadniczą kategoryą ekonomiczną, wyrażoną w terminach energii, przyczem porzuciliśmy zgoła nasz punkt widzenia i usiłowaliśmy przyswoić sobie obcy. Jakeśmy zaznaczyli, nie możemy stanowczo odpowiedzieć, które z powyższych przypuszczeń przedstawia właściwą myśl autora, ale każde niewątpliwie zadaje, przy bliższym rozbiorze, cios podstawowym ideom książki. „Energia społeczna" prowadzi tam byt jako szczególna kategorya, której dwa główne ogniwa są nawzajem bez związku, i nie ulega dla mnie wątpliwości że p. Z. Heryng, gdyby nie uwiódł się wyrazami, nigdy nie dałby tylko co przytoczonej definicyi. Bądź co bądź, od wprowadzenia terminów energii rzecz ani na jotę nie uległa wyjaśnieniu. Natomiast okazało się, że użycie ich zaciemniło kwestyę i sprzyjało niepotrzebnej i nawet szkodliwej grze znaków słownych. I nie sądzimy, ażeby wogóle nauka ekonomiczna zyskała cokolwiek na wprowadzeniu nowych wyrazów, prócz zamętu nic niedających tam, gdzie istniała większa określoność. Terminy „energii społecznej" nie mają nawet tych zalet, jakie posiadają one, użyte przez ostrożniejszych i rozważniejszych fizyków — skróconego a zrozumiałego przedstawienia rzeczy. Analizując zaś inne określenia pojęć ekonomicznych, podane przez p. Z. Herynga, w gruncie rzeczy mamy tam do czynienia tylko z próbą ułożenia pewnego słownika. Jeżeli np. czytamy, iż jednostka, zasobniejsza w energię społeczną, wynajmuje energię potencyalną biologiczną u jednostek nic prócz niej nie posiadających, że wynajęta taka osoba zamienia tę energię potencyalną na kinetyczną społeczną, to z tego przedstawienia nie zdobyliśmy ani nowej wiedzy o przedmiocie, ani nawet nie dano nam

nowego światła na stosunek pomiędzy kosmosem a społeczeństwem. Nie zdobyliśmy wiedzy, bo cały ów zwrot jest tylko przetłomaczeniem na mowę kosmiczną tego faktu, iż przedsiębiorca, mający kapitały, wynajmuje siłę roboczą, która wzamian za pracę oddaje mu pewną ilość wysiłku (płacy). Natomiast zagmatwaliśmy rzecz, bo pojęcia jasne, znane a zrozumiałe, zamieniliśmy innemi, skomplikowanemi a obcemi, w których treść trzeba dopiero wmyślać się.

Ale w książce p. Z. Heryngа, prócz układania słowników, jest jeszcze treść inna, rzeczywista. Poddaje on rozbiorowi pewne zasadnicze pojęcie ekonomiczne. Odsuwając na bok powódź terminów, zapożyczonych z fizyki, zajmiemy się tą stroną *Logiki ekonomii*. Zresztą w tym razie nie tyle będzie nam chodziło o krytykę jej poglądów, ile pragniemy skorzystać z nadarzającej się okazyi, ażeby zatrzymać się nad pewnemi kwestyami, należącemi do ekonomii teoretycznej.

L. Krzywicki.

HISTORYA.

Szkice historyczne Darowskiego.

(Petersburg, 1893—97).

II.

Jeszcze podczas misyi Sapiehy i Warszewickiego w Moskwie rozeszła się tam była pogłoska o cudownem ocaleniu carewicza Dymitra, najmłodszego syna Joana Groźnego (z siódmej jego żony Nagoj), zamordowanego podobno w Ubliczu w d. 16 maja 1591 r. przez najemnych pachołków Godunowa, wówczas wszechwładnego rządcy i „piastuna“ cara Teodora Joanowicza, starszego brata Dymitrowego, ożenionego z Godunowną. Wieść głucha i mętna z początku, rozdmuchana następnie przez bojarów starego autoramentu, zawistnie spoglądających na niebywałe wyniesienie się „koniucha carskiego,“ który po śmierci Dymitra — rzeczywistej czy zmyślonej — zasiadł na przeznaczonym dla niego tronie, urosła do rozmiarów olbrzymich, przybrały wszystkie cechy wiarogodności i prawdopodobieństwa, kiedy się w r. 1604 pokazało, że Dymitr żyje, że jest w Litwie, że się cieszy opieką prawosławnych kniaziów, Wasila Ostrogskiego i Adama Wiśniowieckiego... Litwa — toć to kraj o miedzę; światu całemu wiadomo, że w niej przytułek i opatrzenie znalazły setki i tysiące rodzin niegdyś możnych, sławnych, które, zanim z Moskwy zbiegły, zblizka i naocznie znały Joana Groźnego, jego potomstwo, jego dwór, stosunki, otoczenie. Żaden podstęp, żaden fałsz w takich warunkach nie byłby możliwym... Zdaje się, że szczerze w to *uwierzono* nietylko w Moskwie, ale w Samborze, skoro za samozwańca oddano Mniszchównę, a nawet w Krakowie, gdzie mniemanego Dymitra przyjmował nuncyusz papieski, a za nim Zygmunt III.

Rozwinięciem sytuacyi, jaka się stąd dla Polski wywiązała, są dalsze monografie Darowskiego: „Elekcya Władysława IV na Cara“ (II, 1—147), „Polacy w Kremlu“ (III, 1—83), „Prawa Władysława do korony carskiej“ (II, 289—346) — monografie luźne, niepowiązane z sobą, przeładowane w jednych miejscach szczegółami, powtarzającymi się po kilka razy, to znowu pozszywane cienkiemi nitkami napomknień pobieżnych tam, gdzieby od autora wolno było oczekiwać, a może i wymagać, malowidła, głębszego wniknięcia w osnowę i filozofię zdarzeń. Zasługa autora spoczywa w tem, że tu i owdzie usiłował legendy i świadectwa rosyjskie zestawić ze źródłami polskiemi; zarzuty jednakże, jakie przy tej sposobności p. Darowski czyni historykom rosyjskim, są niekiedy chybione, a przynajmniej nie do wszystkich stosowane być mogą w jednym i tym samym stopniu. O fakcie np. zwrotu części kosztowności skarbca carskiego przy poddaniu się załogi Strusia w Kremlu, S. Sołowjew nie dość, że wie doskonale, ale i kategorycznie to zaznacza. Z niemniejszą otwartością wyznaje historyograf rosyjski pewnik, że bez interwencyi wojsk Zygmunta III i śmiałej rzutkości Żółkowskiego, Moskwa niechybnie wpadłaby w ręce Samozwańca II i rabusiowskich, rozbestwionych kup jego żołdactwa. Nie porusza tylko Sołowjew kwestyi, czy nie lepiejby wyszedł król polski, gdyby pozwolił był kozakom Zaruckiego zrujnować wpierw i do góry dnem wywrócić hospodarstwo moskiewskie i gdyby dopiero potem sam zagarnął pod siebie i anarchię i zgliszcza; pomimo to nie czuć w tonie jego opowiadania, ażeby zdobycie Smoleńska i powołanie na tron królewicza Władysława uważał za zbyt wygórowaną kompensatę tych usług, tej wspaniałomyślności — bezspornie niepolitycznej z punktu widzenia dyplomacyi nowoczesnej...

Studyum „Malborski jeniec“ (III, 121—181) należy do znacznie lepszych, staranniej opracowanych. Jeńcem jest tutaj ojciec *przyszłego* (względnie do wypadków opisywanych) założyciela dynastyi Romanowów, metropolita rostowski Filaret, gwałtem zaciągnięty do stanu duchownego przez Godunowa, przedtem zaś przedstawiciel jednego ze znaczniejszych rodów bojarskich. Podczas długiego oblężenia Smoleńska przez Zygmunta III w r. 1610, jeniec ów dostał się do Polski i osadzony został w stołecznym zamku mistrzów krzyżackich z następującego powodu. W trakcie rokowań o powołanie na tron córki królewicza Władysława, Zygmunt III wystawił bojarom przywilej z d. 14 (26) lutego 1610, kontrasygnowany przez Janusza Tyszkiewicza Skumina, pisarza W. Ks. Litewskiego, z 18 punktów złożony i głoszący między innemi co następuje: „Jego Królewska Mość zezwalać raczy, aby królewicz Władysław koronował się na moskiewskie hospodarstwo z rąk patryarchy; wiara prawosławna, według nauki soborów powszechnych, w niczem naruszoną nie będzie; król zabrania przechodzenia z wiary greckiej na katolicką — ruscy ruską wiarę, polacy polską swobodnie wyznawać mają; Żydom zabrania król i zakazuje bywać w Moskwie, tak z towarami, jak i w sprawach wszelkich; przeciw nieprzyjaciołom oba państwa, polskie i moskiewskie, społem walczyć będą; polskim i litewskim panom województwa i urzędy w carstwie rozdawane nie będą; chłopom zabroni hospodar wynosić się z Polski do Moskwy, a także z Moskwy do Polski; chłopi i niewolnicy bojarscy żyć będą podług dawnych zwyczajów, a hospodar będzie raczył nie udzielać im wolności“ itd. Przed złożeniem z tronu cara Bazylego Szujskiego, a po bitwie pod Kłuszynem (4 lipca 1610) w czasie umawiania się z Dumą bojarską o warunki pomocy polskiej przeciwko drugiemu Samozwańcowi, osaczającemu Moskwę, hetman Żółkiewski wydał na ręce delegatów Dumy, Wałuwjewa i Jeleckiego, inny dokument, tak brzmiący w treści swej głównej: „Przysięgam na krzyż pański za siebie i wszystkich ludzi moich, iż nie będę odbierał władzy prawosławnej u ludzi moskiewskich, ani cerkwi niszczył, a Władysław będzie rządził w hospodarstwie, jak dawni jego hospodarowie...“ W końcu zaś: „A będę walczył przeciw Samozwańcowi i miasta, które jego stronę trzymają, będę zdobywał. A gdy Bóg da, że Smoleńsk uderzy czołem przed Zygmuntem, król odstąpi od miasta z wojskiem, a miasta pograniczne zostaną nadal przy hospodarstwie moskiewskiem...“ Ponieważ między dwoma owemi nadaniami zachodziły niejakie różnice, a Duma bojarska żądała jeszcze przytem formalnego zobowiązania się, iż królewicz Władysław (niepełnoletni) przyjmie wiarę prawosławną, przeto pod Smoleńsk wyjechało z Moskwy osobne poselstwo, z metropolitą Filaretem na czele, mające sprawy te rozebrać bliżej. Rozmowy się przeciągały, Smoleńsk dobrowolnie uledz nie chciał, a gdy się ujawniło, że posłowie, zamiast zatarg łagodzić, znoszą się potajemnie z oblężonem miastem i do oporu je zachęcają, kazano ich wywieźć do Polski... Lata honorowego więzienia w Malborgu metropolity i jego otoczenia, kniaziów lub bojarów: Mezeckiego, Kramotyna, Puszkina, Glebowa, Baskakowa, Korobina Barteniewa, Łagostkina, Kwasznina, Pawłowa, Ługowskiego itd., tudzież późniejszy ich powrót do ojczyzny, gdy wyprawa do Moskwy, po zdobyciu Smoleńska, w niwecz się obróciła — posiadają w archiwach nader skąpy materyał źródłowy; autor zgromadził w swej pracy wszystko, co się na razie zgromadzić dało.

Urzędownie, państwo polskie za Zygmunta III nietylko nie popierało samozwańców w Moskwie, lecz, jak widzieliśmy, wystąpiło do walki z Dymitrem II, „złoczyńcą z Tuszyna,“ „oszustem tuszyńskim“ — według mianownictwa ówczesnych kronikarzy. Co do Rzeczypospolitej, jako rzeszy możnowładztwa rycerskiego, powiedzieć tego o niej nie można; udział jej w domowej wojnie moskiewskiej jest osią, dokoła której obracają się najgrubsze wypadki zamętu tej doby dziejowej. Jeżeli zaś ufać mamy przenikliwości świadectw współczesnych, w takim razie wypadnie nawet zgodzić się, że ów „najazd“ społeczności szlachecko-polskiej na posiadłości sąsiada wschodniego, okrom pobudek religijnych, płynących z Rzymu, miał w sobie coś jeszcze z pierwiastków nieodłącznie i nieodbicie związanych z wewnętrznym ustrojem ówczesnej Polski: był niejako dalszym ciągiem konfederacyjno - rokoszowej działalności jej organizmu społecznego. Na jakiś czas przed oblężeniem Smoleńska przyszły jego obrońca, zacięty Szein, otrzymał list od wojewody mścisławskiego, Jędrzeja Sapiehy, otwarcie tłomaczący powody, dla których urzędy i instytucye publiczne Rzeczypospolitej bezwładne są wobec grożącej Moskwie powodzi. „Ja ci rzeczy rzetelne i prawdziwe opowiem — pisał wojewoda mścisławski — że wszystko to czyni się przeciwko woli i zakazowi jego królewskiej miłości. W całym świecie, za grzechy ludzkie, taka swawola nastała, że i poskromić trudno. Nie zataję i tego, jako wielu poddanych jego królewskiej mości na swego przyrodzonego pana powstało i uporczywie przeciwko niemu oświadczać się ośmieliło; atoli Bóg miłosierny wsparł naszego hospodara, a oni, chroniąc się przed wojskiem królewskiem, własną teraz wolą idą na cudze państwa, nie bacząc na zakaz jego królewskiej mości.“

Któż byli owi ludzie własnej woli i swawoli? W pierwszym rzędzie wywołani z ojczyzny przestępcy, skazani na infamię i gardło, od rozgłośnego Lissowskiego do skromnego zbiega, jakiegoś tam Jana Starochowskiego, który posądzony w Moskwie o zamiar powrotnej ucieczki za granicę litewską, tłomaczy się na mękach przed zwierzchnikiem „pytki hospodarskiej.“ ks. Łobanowem-Rostowskim, że „o zbiegnięciu na Litwę nie myślał, gdyż zabił tam swego sąsiada, p. Nowosielskiego.“ Do drugiej kategoryi należą butni dygnitarze i wielkorządcy, posiadający w swej ojczyźnie (jak się to np. ujawniło w procesie Radziejowskiego) nawet prawo wydawania listów żelaznych, czyli ochronnych, osobom obwinionym o naj-

cięższe zbrodnie stanu i obrazę majestatu, a więc: taki wojewoda sandomierski Mniszech, tacy kniaziowie, jak Roman Różyński i Adam Wiśniowiecki, taki Aleksander Zborowski, taki Jan Piotr Sapieha, taki Stanisław Stadnicki — każdy na czele domowych swych hufców i chorągwi od tysiąca do czterech tysięcy ludzi. Za nimi lub pod nimi chorążowie i porucznicy mniejsi, bynajmniej jednak nie skromniejsi w swych widokach i zamiarach na obczyźnie: Skuminowie Tyszkiewicze, Budziłły, Miechowieccy, Rudzcy, Marchoccy, Młoccy, Bobrowscy, Wilamowscy, Buczyńscy, Osmólscy, Ciecierscy, Chwalibogi, Wrzeszcze, Wilczki, aż do kniaźków lub szaraczków, którym losy partyzantki pozazdrościły szerszego rozgłosu dziejowego — do Charlińskich, Czaplińskich, Kazimirskich, Biedrzańskich, Dudzińskich, Rożałowskich, Rożniatowskich, Chruślińskich, Sładkowskich, Skopowskich, Przytockich — znanych nam dziś dlatego jedynie, że przy ostatecznej likwidacyi antrepryzy samozwańczej za panowania nowoobranego protoplasty monarchów rosyjskich, Michała Teodorowicza, zastrzegła tu i owdzie w aktach sądowych lakoniczna adnotacya: „pieczony silnie po raz wtóry i trzeci, nie więcej nie mówi; zesłać w Sybir, do Wierchoturia."

(D. n.)

W. Rajczyc.

LITERATURA I SZTUKA.

ODCZYTY.

Podaliśmy w nr. 13 *Prawdy* krótką wzmiankę o paru odczytach. Obecnie, nadmieniając o innych, musimy wyjaśnić, dlaczego postanowiliśmy zaniechać na teraz osobnych sprawozdań szczegółowych. Gdybyśmy im chcieli dać tyle miejsca, ile inne pisma dają, nacierpiałyby na tem książki naukowe. U nas bowiem pisze się bardzo dużo o prelekcyach, z których część następnie przechodzi na szpalty pism, jako artykuły, część zaś stanowi urywki spopularyzowanej fizyki, chemii, zoologii, botaniki itd. Jako wykład dla publiczności, obeznanej bardzo mało z tą dziedziną wiedzy, mają one znaczenie. Jako streszczenia sprawozdawcze w pismach, nie przynoszą żadnego pożytku, gdyż niczego nie nauczą tych, którzy nie byli na odczycie. Przytem większość prelegentów, w roli popularyzatorów wiedzy lub mówców, dzielących się z publicznością wrażeniami z podróży, zbyt mało poświęca czasu i sił na napisanie swych odczytów i niewiele wkłada w nie myśli samodzielnych, podczas gdy autor książki naukowej lata nad nią pracuje i daje ogółowi rzecz cenną, która długo będzie przynosić pożytek społeczeństwu oświeconemu.

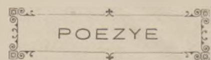
Otóż tym razem nie chcieliśmy wyrządzać krzywdy owocom pracy poważnej i mozolnej, stawiając sprawozdania z odczytów na równi z rozprawami o dziełach naukowych. Dlatego poprzestajemy obecnie na krótkich wzmiankach o trzech odczytach, o których jeszcze nie wspominaliśmy. Na uwagę zasługują wykłady dwu znanych u nas popularyzatorów wiedzy. P. J. J. Boguski zapoznał słuchaczów z ważną dziedziną fizyki, „energią promienistą," zaznaczył specyalizacyę w rozległej już dziś sferze nauki itd. Wogóle prelegent ma ten nieoceniony dar wykładu, który pozwala przyswajać skrawki wiedzy słuchaczom zupełnie z nią nieobeznanym.

Dr. Maksymilian Flaum jest u nas bardzo czynnym popularyzatorem przeważnie wiedzy fizyologicznej. Jego prace, których już jest spora wiązanka, ogół może czytać z pożytkiem i zajęciem. Do ostatniego odczytu prelegent wziął temat również z tej dziedziny. Obrazowo wykazał łączność mózgu z żołądkiem za pośrednictwem systemu krwionośnego i nerwowego; wreszcie scharakteryzował fizyologię i psychologię uczucia głodu, tudzież udział systemu nerwowego i mięśniowego w procesie trawienia i wpływ zaburzeń żołądkowych na władze umysłowe. Dr. Flaum umie przykuwać uwagę słuchaczów i to właśnie jest cenną zaletą jego wykładów.

W seryi odczytów tegorocznych wyróżniały się dwa p. Antoniego Pileckiego „Przyroda w poezyi." Sam temat jest bardzo zajmujący i wdzięczny, ale zarazem tak rozległy, że niepodobna bez szkody wtłoczyć go w dość szczupłe ramki odczytu. To też prelegent usiłował przedewszystkiem podbić słuchaczów efektami, muzyką stylu, z często powtarzanemi zwrotkami. Wobec ogromu przedmiotu wyszła nadzwyczaj chaotyczna mozaika barw i charakterystyk, a zarazem nieproporcyonalność. To też p. Pilecki pokrzywdził Słowackiego i Krasińskiego, z którymi się załatwił bardzo pobieżnie. Wreszcie pominął wdzięczną i bogatą dziedzinę — poezyę ludową.

Wielkopostna, a raczej przedwakacyjna serya wykładów publicznych już się skończyła.

Słyszeliśmy, że pewne grono osób zamierza zerwać z tradycyą, ku pożytkowi ogółu; mianowicie zorganizować odczyty takie, któreby popularyzowałyby całość danej dziedziny wiedzy, na wzór wykładów oddawna uznanych i cieszących się wielkiem powodzeniem za granicą. Myśli tej trzeba szczerze przyklasnąć, a inicyatorów jaknajgorętszej zachęcić, ażeby nie poprzestali tylko na zamiarze, lecz rozwinęli zabiegi, w celu wykonania projektu. Nie będzie to rzecz bardzo łatwa, gdyż najważniejszą podstawą tych wykładów muszą być... prelegenci. Do przemawiania z katedry, gwoli próżności, znaleźć się może sporo ochotników; ale dla spopularyzowania pewnej dziedziny wiedzy trzeba powołać ludzi gruntownie wykształconych, a przytem posiadających dar jasnego wykładu. Ludzi takich mamy, jakkolwiek jest ich bardzo szczupła garstka. Wszyscy oni są zaprzęgnięci do ciężkiej pracy. Jeżeli więc zechcą przyjąć na siebie ten ważny i zaszczytny obowiązek, będzie to wspaniała z ich strony ofiara, gwoli dobru publicznemu. Niewątpliwie tej ofiary nie odmówią, skoro tylko inicyatorowie postarają się załatwić stronę formalną organizacyi. Społeczeństwo nasze liczy nie setki, lecz tysiące ludzi powierzchownie, niesystematycznie ukształconych. Dla nich więc, jako stojących już po za obrębem wyższych lub średnich zakładów naukowych, pogłębienie i rozszerzenie wiedzy za pomocą wykładów publicznych, będzie niezmiernie pożytecznem. Zresztą przyniosą one korzyść i tym, którzy systematyczną wiedzę szkolną otrzymali; gdyż szkoła nie wyczerpuje wszystkich gałęzi nauk, z któremi w postaci zjawisk powszednich codzień mamy do czynienia i które z dniem każdym robią wielkie postępy. Młodzieniec lub panna z patentem gimnazyalnym częstokroć nie mają najmniejszego pojęcia o ważnych i ciekawych zagadnieniach z zakresu chemii i wogóle nauk przyrodzonych. Przeszli oni kurs geografii może nawet ze stopniami celującymi, a nie zdołali poznać tej geografii w szerokiem znaczeniu, która zajmuje poważne miejsce w programach uniwersyteckich. Znamy młode matki, które pokończyły pensye, uczęszczają chętnie na odczyty, słuchają z przyjemnością opowiadań o Islandyi, Konstantynopolu, o poezyi i literaturze, a nie mogą swym dzieciom, natarczywie ciekawym, wytłómaczyć najprostszych zjawisk przyrody. Dla tych wszystkich, bardzo u nas licznych rzesz, pożądane są wykłady systematyczne. Trzeba je tylko umiejętnie urządzić.



Léon Lzurent-Pichat.

Zwiędłe wspomnienia.

Co znaczy tutaj ten kwiatek blady,
Widmo pamiątki?
Czy to przeszłości mglistej są ślady?
Wspomnienia szczątki?

Mój tajemniczy kwiatuszku mały,
Wyblakły cieniu —
Czy cię me ręce w książkę wkładały
W słodkiem marzeniu?

Czy w smutku chwili drogie mi dłonie
Tu cię włożyły?
Czy cię na polnym wzięto zagonie,
Czy też... z mogiły?..

O, zapomniany i nikły kwiatku,
Okryty mrokiem...
Napróżno patrzysz, uczuć mych świadku,
Błękitnem okiem.

Próżno odszukać chcę cię w wspomnie- [niu,
I w myśli grzebię...
Zniknąłeś w przeszłości, jak w nocy cieniu,
Już nie znam ciebie!..

Lecz przebacz mojej słabej pamięci,
Bo pełne skruchy
Serce wspomnieniom ołtarz poświęci,
Zbierze okruchy..

Przebaczcie, proszę—kwiaty bez woni,
Zwiędłe wspomnienia —
Że nic zostało z przeszłości toni
Nic, oprócz — cienia.

M. Z.

O PRAWDĘ.



Samowola.

W jednym z numerów *Kuryera Warszawskiego* znajduje się artykuł podpisany literą N., a streszczający rezultat ostatniego posiedzenia Towarzystwa Łyżwiarzy. Autor rozważa w sposób bardzo naiwny, że nie powiemy cyniczny, interesy tej instytucyi, które, ze względu na swój charakter kompromitujący, raczej ukryte być winny. Artykuł ten jest wymowną ilustracyą stosunków naszych; pomiędzy wierszami jego łatwo wyczytać: „robimy z wami, co się nam podoba, nie czyniąc z tego tajemnicy; nie obawiamy się bowiem ani protestu waszego, ani krytyki, gdyż jesteście tak dobrzy, tak nieudołężni..." Ale do rzeczy. Otóż pan Rembierz, członek rzeczonego Towarzystwa, jedzie do Berlina, gdzie (według słów artykułu). „nie mając upoważnienia Towarzystwa, angażuje kapelmistrza Meydera" (który zawarł był układ z Bagatelą, o czem p. R. musiał dokładnie wiedzieć), układając z nim cyrograf, skazujący Tow. Łyżw. na zapłacenie 5,000 rs. w razie zerwania umowy." W Towarzystwach, pojmujących swe zadania i obowiązki, fakt taki byłby wystarczającym, aby członka, działającego tak samowolnie, natychmiast z listy wykreślić. Jak Tow. Łyżw. w danym razie z p. R. postąpiło, czy go do odpowiedzialności pociągnęło, czy mu wspaniałomyślnie wybaczyło, nie wiem. Wiem tylko, że sposób uchwalony na piątkowem posiedzeniu, a mający naprawić błąd p. Rembierza, do czego zresztą Tow., które nie dało mu upoważnienia, nie jest obowiązane, jest tak naiwny, wykazujący tyle doświadczenia

w prowadzeniu tego rodzaju interesów, tylo jasnego widzenia rzeczy wogóle, że wykrzyknik: *o sancta simplicitas!* mimowolnie z ust się wyrywa i śmiaćby się tylko wypadało z tego, jakby żartu, gdyby żart ten tak drogo nie kosztował. Otóż, zamiast postąpić zwyczajem całego świata, tj. porobić odpowiednie ogłoszenia w pismach muzycznych, podając warunki i żądając (jak nakazuje słuszność i jak wszędzie się dzieje), aby sprawa załatwiona została tu na miejscu, czy to przez kapelmistrzów osobiście, czy też przez ich zaufanych, zjeżdżających w tym celu do Warszawy, a co wszystko, razem wziąwszy, nie przewyższyłoby rs. 100, Zarząd instytucyi, która posiada zaledwie część sumy na pokrycie długu względem Meydera, deleguje dwóch panów (Olszowskiego i K. Gebethnera) z misyą jeżdżenia po Europie, zaalezienia odpowiedniej orkiestry dla doliny i polubownego zakończenia sprawy z p. Meyderem, który, poszukując swych pretensyj, uda się przecie do sądów tutejszych. Nie potrzebuję również dodawać, że pieniądze, które ci panowie wydadzą na podróż, stanowiłyby pewnie brakujące $^{2}/_{3}$ sumy, którą w najgorszym razie trzebaby zapłacić Meyderowi. Nie mówię już nic o tem, że pp. delegowani, dla braku doświadczenia w sprawach tego rodzaju, porobią zapewne umowy *a la* Rembierz, które w ostatecznym rezultacie odbiją się boleśnie na kieszeniach członków Tow. Łyżwiarskiego. Że wobec zarządu, prowadzącego interesy Tow. w sposób tak praktyczny i oszczędny, deficyt jest rzeczą nieuniknioną — to rzecz jasna. Że zarządy takie istnieć mogą tylko śród społeczeństwa niedojrzałego, niewyrobionego — nie potrzeba również dowodzić. Imponują nam zarządy Towarzystw zagranicznych, ale są one tam przez prasę, przez opinię publiczną utrzymywane w takim rygorze, że nikomu nawet do głowy nie przyjdzie przekroczyć zakresu swej władzy, uchylić się od przyjętych obowiązków.

Przy sposobności zaznaczyć należy jeszcze jedno nadużycie, którego dopuszczają się pewne osobniki, chcąc gwałtem grać rolę przewodnią — duchów opiekuńczych publiczności warszawskiej. Skrzypek Berber otrzymał na ostatnim swym koncercie wieniec srebrny „od miasta Warszawy.“ Kto upoważnił hojnych dawców do występowania w imieniu naszego miasta? Gdyby przynajmniej poprzestali na napisie: „Od grona wielbicieli talentu Berbera,“ nie miałbym nic przeciw temu. Gdyby zaszczyt ten spotkał którego z naszych miejscowych artystów (Barcewicza, Michałowskiego, Noskowskiego itp.), których nazwiska od lat kilkunastu wymawiane są przez wszystkie usta z uznaniem i wdzięcznością, którzy niejednokrotnie, niosąc sztukę swą w usłudze dobroczynności, niejedną łzę otarli — uznałbym to za słuszne i godne pochwały. Ale za co Berbera ten zaszczyt spotyka? Artysta nieznany, średniej miary, obcy zresztą, przyjeżdża na dni parę. Kilkuset ludzi zaledwie go słyszy, z tych kilkuset kilku zaledwie zdobywa się na dar, i — ofiaruje go od miasta Warszawy! Fakt ten, wyzyskany przez prasę niemiecką, nie przyczyni się do zwiększenia szacunku dla nas i nie zmieni kursującego jak moneta zdawkowa w Niemczech zdania *von den dummen Polen*, których bezkarnie obedrzeć można i wyśmiać w dodatku.

X. X.

W DALI.

Radom. Projekt nadania nazwy Mickiewicza ulicy, idącej od dworca kolejowego do ulicy Lubelskiej, przyjęto przychylnie. Jednocześnie poruszono projekt, ażeby na rogu ulicy „Mickiewicza“ i Lubelskiej postawić pomnik Kochanowskiego. Nadaje się do tego plac zupełnie pusty, nieodpowiedni do budowy domów. Budowa pomnika nie byłaby kosztowna, ze względu na bogate kamieniołomy w Szydłówku, Szydłowcu, Kaniowie itd.

Wilno. Mieszkańcy miasta i całego kraju bardzo są zainteresowani sprawą wskrzeszenia uniwersytetu. Pisze o nim szeroko prasa rosyjska. Między innemi *Glasnost'* utrzymuje, że uniwersytet w Wilnie jest niezbędnym; musi on mieć „znaczenie zespalające“ „co doskonale rozumieli polscy mężowie stanu, gdy stworzyli wszechnicę w tem mieście dla łatwiejszej kolonizacyi kraju...“ „Oczywistą jest rzeczą, że ruszczenie, jako działalność natury moralnej, duchowej, nader zawiła i należąca do czynności w „wyższym stylu,“ nie może być wprowadzoną skutecznie przez garstkę przybyszów rosyjskich, chociażby byli nimi olbrzymi rusycyzmu. Działalność tego rodzaju może być udziałem wzrosłej na miejscu i w sposób całkiem naturalny inteligencyi rosyjskiej.“ *Now. Wrem.* dorzuca w tej sprawie następujące uwagi: „Sprawa otwarcia w Wilnie wyższego zakładu naukowego, uniwersytetu, czy też akademii duchownej, oddawna już jest przedmiotem dyskusyi i chociaż przytoczono dużo przekonywających argumentów, jednakże o urzeczywistnieniu tych projektów nie ma dotąd mowy. Trudno nie zgodzić się z gazetą *Glasnost'*, że w razie otwarcia w Wilnie akademii duchownej, całe setki dojrzewających corocznie młodych sił inteligentnych, skazane byłyby na bezczynność bez pożytku dla sprawy rosyjskiej w kraju, zwłaszcza gdy z jakichkolwiek przyczyn młodzież ta nie zdoła dostać się do żadnego wyższego zakładu naukowego obu stolic.“ — *Graždanin* zapewnia, iż właścicielom ziemskim w guberniach zachodnich postanowiono pozwolić sprzedawać majoraty tylko za pośrednictwem Banku włościańskiego i to wyłącznie osobom prawosławnym pochodzenia rosyjskiego. — Według organu miejscowego, w gub. Wileńskiej jest obecnie szkół ludowych, z wyłączeniem chederów, 289, z których 83 w miastach i 205 w powiatach, co, stosunkowo do ogólnej cyfry ludności wiejskiej, stanowi jedną szkołę na 5 365 mieszkańców płci obojej. Oprócz tego jest jeszcze 59 szkół parafialnych i 474 elementarnych pod zarządem duchowieństwa. Łącznie z temi wypada jedna szkoła na 1,457 mieszkańców.

Petersburg. Korespondent *Petersb. Wied.* z Moskwy pisze: „Posiedzenie 3-go wydziału zjazdu artystów poświęcono w całości sprawie teatru małoruskiego. Podstawą wszystkich 5 referatów były skargi na nieprawidłowy stosunek administracyi do tego teatru. Widnokrąg dramaturga małoruskiego, jak utrzymuje p. Starycki, nie może przekroczyć ram „chutoru,“ chaty. Dla teatru małoruskiego bezwarunkowo niedostępne są: sztuki historyczne z życia Ukrainy, sztuki z życia inteligencyi i przekłady. Zakazane są np. „Lekarz z przymusu“ Moliera, „Marya Stuart,“ „Wilhelm Tell“ Szyllera, cały Szekspir itd. Przedstawienia małoruskie uchwala tylko administracya wyższa gubernialna, nawet afisze cenzuruje nie, jak zwykle, policmajster, lecz gubernator. Wzbronione są sztuki małoruskie, jakkolwiek wodewil rosyjski obowiązkowo musi być w programie wieczoru; w Odesie zaś żądano nawet jednakowej ilości aktów rosyjskich i małoruskich, skutkiem czego artyści zmuszeni byli grywać po 10 aktów, co już siły fizyczne przechodzi. Chociaż teatr małoruski ma prawo zupełne do miana ludowego, sztuki jednak jego repertuaru nie są włączane do wykazów sztuk, dozwolonych na scenie teatru. W tych warunkach rozwój teatru jest niepomyślny i całe południe Rosyi zmuszone oglądać na scenie wciąż te same „chatki,“ to samo bez końca „kochanie.“ Język małoruski, nanowo do życia powołany przez zgasłego w Bogu Cesarza Aleksandra III-go, który pozwolił wykładać w szkołach przedmioty w języku małoruskim i drukować w tym języku niektóre książki, w dwa lata uległ znowu ograniczeniom, które go doprowadziły do tego stanu nędznego, w jakim się dziś znajduje.“ *Petersb. Wied.* donoszą, że uwagi powyższe zjazd przyjął życzliwie. Przemawiał jeszcze Saksagański o teatrze dla ludności fabrycznej, tudzież odczytano 3 referaty z Czernihowa: tamtejszej rady miejskiej, kółka inteligencyi z artystką Zienkowicką na czele i radnego Szraga — wszystkie w duchu postulatów Staryckiego. Większość dzienników, zdając sprawę z tego posiedzenia, odzywa się o teatrze małoruskim sympatycznie.

Jekaterynosław. We wrześniu będzie otwarta wyższa szkoła górnicza z kursem trzyletnim. Pieniądze już są, plac ofiarowało miasto. Ma być przyjmowana młodzież, która ukończyła szkołę realną i gimnazyum klasyczne. Wychowańcy przyszłej szkoły obowiązani są mieszkać w interacie, o ile w mieście nie mają bliskich krewnych. Interni płacić mają rs. 400, eksterni rs. 100 rocznie z góry, w dwóch ratach. Szkołę zaliczono do ministeryum dóbr państwa, nadzór ogólny ma być powierzony zarządowi górniczemu Rosyi południowej. Przyjmowani będą tylko poddani rosyjscy; ukończenie szkoły daje dyplom i tytuł technika górniczego.

Charków. Przed kilku tygodniami otwarto szkołę Towarzystwa dobroczynności i przyjęto do niej 18 uczniów, oraz ucznic w wieku 7—12 lat. Religię wykłada ks. wikaryusz Taraszkiewicz, język rosyjski — panna B. Wielohorska, geografię i kaligrafię — p. K. Nejman, arytmetykę — panna H. Polańska. Do komisyi szkolnej, która stanowi zarazem i radę pedagogiczną, zaproszono: Pannę A. Waszkiewiczównę, pp.: prof. uniwersytetu i gimnazyum Szepielewicza, Kłopotowskiego i B. Krajewskiego, Milewicza i d-ra med. I. Pęskiego. Na stanowisku zarządzającego szkołą okrąg naukowy zatwierdził magistra A. Krajewskiego. Środki są tak szczupłe, iż członkowie komitetu zobowiązali się zbierać między sobą datki miesięczne na zaspokojenie nieodbitych potrzeb szkoły i uczniów.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W celu oszczędzenia przykrości, wyrządzanych ze strony władz pruskich robotnikom, przechodzącym granicę bez paszportów na roboty w polach, postanowiono wprowadzić dla tej kategoryi ludności dowody bezpłatne w formie książeczek legitymacyjnych. (*Mir. Otg.*).

— Koszt budowy nowego teatru we Lwowie wyniesie 1,104,000 złr. Trzecią część tej sumy pokryje fundusz krajowy.

— Dr. filozofii, p. Zofia Daszyńska, obecnie docentka akademii Humboldta w Berlinie, rozpoczęła w Krakowie szereg wykładów z zakresu ekonomii społecznej.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa dobroczynności w Pabjanicach.

— Wiktor hr. Starżeński, b. oficer gwardyi, syn Wiktora hr. Starżeńskiego, marszałka szlachty gubernii Grodzieńskiej, wyjednał sobie prawo odkupienia majątku rodowego, położonego w rzeczonej gubernii. Podobno takież samo pozwolenie otrzymał August hr. Potocki we względzie odkupienia połowy współwłasności dóbr rodowych Berezyna w gub. Mińskiej, należącej poprzednio do jego brata, Eustachego hr. Potockiego, a przed kilku laty nabytej na licytacyi przez barona Wulffa.

— Na 460 posad przy monopolu wódczanym w okręgu lubelskim, obejmującym gub. Lubelską, Radomską i Kielecką, zgłosiło się około 5,000 kandydatów i kandydatek.

Szkoły. Ministeryum oświaty zatwierdziło, z zastrzeżeniem praw osób trzecich, zapis Wandalina Przybory, właściciela ziemskiego gub. Grodzieńskiej, rs. 6,000 na utworzenie stypendyum imienia Klementyny Przyborowej dla uczniów gimnazyum piątego w Warszawie, wyznania katolickiego, urodzonych w pow. Kobryńskim.

— Ze względów praktycznych zmieniono terminy otwarcia i zamknięcia roku w niższej szkole rolniczej sobieszyńskiej. Wykłady trwać będą od 13 września do 13 czerwca. Jako termin zapisu i egzaminów wstępnych dla kandydatów nowych, wyznaczono 27 sierpnia. Jednocześnie rozszerzono zakres szkoły, tj. niezależnie od trzech klas właściwych utworzono osobną wstępną. Jest to wynik doświadczenia. Okazało się bowiem, że skutkiem braku w kraju dwuklasowych szkół wiejskich, uczniowie wstępujący do klasy I-ej szkoły sobieszyńskiej ujawnili niedostateczne przygotowanie początkowe.

— Austryacki minister oświaty i wyznań, Gautsch, wydał rozporządzenie w sprawie przypuszczenia kobiet, jako zwyczajnych lub nadzwyczajnych słuchaczek uniwersyteckich, do wydziałów filozoficznych w Austryi. Rozporządzenie to żąda od słuchaczek zwyczajnych dowodu poddaństwa austryackiego, ukończonych lat 18 i złożenia matury w jednem z gimnazyów państwowych. Jako słuchaczki nad-

zwyczajne, mogą być przypuszczone do wydziałów filozoficznych, jeżeli, co najmniej, ukończyły ze skutkiem żeńskie seminaryum nauczycielskie lub szkołę dla dziewcząt, uznaną przez ministeryum oświaty za równą z seminaryum nauczycielskiem. Słuchaczki nadzwyczajne muszą jednakże zapisać się przynajmniej na 10 godzin wykładowych tygodniowo. Na oddzielne wykłady w przyszłości będą mogły uczęszczać te słuchaczki, które wyjątkowo otrzymają od kolegium profesorów pozwolenie, na wniosek docenta.

— Egzaminy wstępne do szkoły handlowej Kontalera w Warszawie odbywać się będą przy końcu maja i w sierpniu.

— Progimnazya: 4-klasowe w Żytomierzu i 6-klasowe w Ostrogu postanowiono zamienić na gimnazya.

Rolnictwo. Ministeryum rolnictwa dla zachęcenia włościan do hodowli koni ustanowi honorowych opiekunów okręgowych.

— Jak donoszą *Warsz. Gub. Wied.*, gospodarstwa mleczne, na większą skalę urządzone w pow. Błońskim, są następujące: w Chlewni i Dąbrówce p. Juliana Wieniawskiego (Jordana) dochód roczny z mleka wynosi około 3,000 rs., w Mosznie p. Wiktoryi Krzywoszewskiej około 4,300 rs., w Krośnie własność cukrowni Józefów, około 2,600 rs. w Parzniewie p. T. Ujazdowskiego około 2,000 rs. i w Żabieńcu p. Wilczyńskiego około 4,000 rs.

Koleje i komunikacye. Z polecenia ministeryum w zbliżającym się sezonie letnim, pomiędzy pogranicznemi stacyami pruskiemi i austryackiemi a krańcowemi budowanej kolei Syberyjskiej wprowadzone będą osobne pociągi dla utrzymania komunikacyi bezpośredniej. Składać się one będą z wagonów I i II klasy, oraz sypialnego i restauracyjnego, kursować zaś mają dwa razy tygodniowo.

Wystawy i zjazdy. Towarzystwo ogrodnicze urządza sezonowy bazar kwiatowo-warzywniczy w Warszawie, który trwać będzie trzy dni, od 9 do 11 kwietnia włącznie.

— Na zjeździe piwowarskim w Moskwie roztrząsano sprawę zmiany opłat akcyzy od piwa. Większość przyszła do przekonania, że pobieranie tych opłat z dołu, na wzór Ameryki, mogłoby wpłynąć dodatnio na przemysł piwowarski w kraju.

Gospodarka miejska. *Kuryer Warsz.* dowiaduje się z pewnego źródła, iż kupcy i przemysłowcy tutejsi, których interesy opierają się przeważnie na przewożeniu towarów do dworców kolejowych, oraz na rozwożeniu po mieście, występują z podaniem do J. O. General-Gubernatora warszawskiego o pewne zmiany w przepisach z roku przeszłego, określających ruch wozowy na ulicach miasta. Zmiany te dotyczą głównie punktu, orzekającego, że woźnice furgonów lub wozów nieresorowych obowiązani są iść przy koniach, co jest przyczyną ciągłych wypadków i wielkiej mitręgi czasu. Od chwili tego rozporządzenia interesy ludności miasta i szerokich jego okolic znacznie ucierpiały, gdyż wielu dostarczycieli produktów żywności zaniechało tego zajęcia, bo się ono im nie opłaca. Ludność zaś miejska musi płacić drożej za owe artykuły. Wogóle przepisy te w znacznym stopniu sparaliżowały ruch handlowo-przemysłowy.

Katastrofy. W zakładach górniczych na Szląsku w kopalni „Jadwiga" skutkiem wybuchu gazów straciło życie sześć osób: właściciel, chemik, nadsztygar i 3 górników.

Zmarli. Edward Siwiński, w Warszawie; pedagog i literat. Ur. w Warszawie 1831 r. Był profesorem literatury polskiej na kursach przygotowawczych Szkoły Głównej. Pomimo ślepoty, trwającej przez lat 20, był czynnym na polu dziennikarsko-literackiem do ostatniej chwili.

— Jan Szutkiewicz, w Warszawie; aktor teatrów wędrownych i autor utworów dramatycznych i powieściowych. Sztuka jego, osnuta na tle życia mieszczańskiego, „Popychadło," cieszy się wielkiem powodzeniem.



Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 28 Марта 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.